



Harlequin® Medical® Duo

Maggie Kingsley *Udany związek*
Emily Forbes *Lekarz bliski ideału*

NR 7 07/11 INDOPES 572046 CPNA 14,50 ZŁ W TYM 95% VAT



Maggie Kingsley *Udany związek*
Emily Forbes *Lekarz bliski ideału*

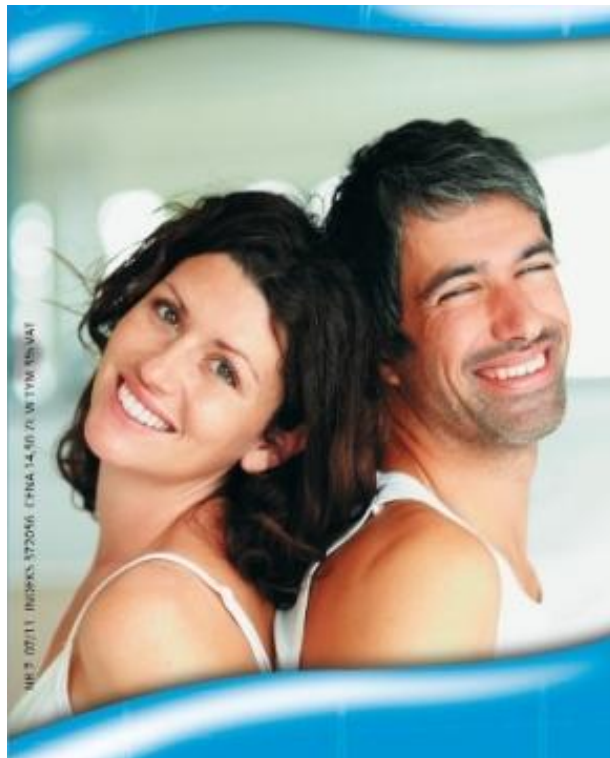
Medical Duo

85



Maggie Kingsley Udany związek

Tytuł oryginalny: A Nurse to Tame the Playboy



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Poniedziałek, 22:05

Przecież to prawda znana każdej kobiecie, która ukończyła dwadzieścia pięć lat, pomyślała z goryczą Bronté O'Brian, przyglądając się przez duże widokowe okno mężczyźnie stojącemu przed budynkiem Ośrodka Dyspozycyjnego Ratownictwa Medycznego numer siedem.

Mężczyźni dzielą się na dwie kategorie. Do pierwszej należą ludzie odpowiedzialni, poważni, stateczni, czyli tacy, z którymi można wiązać swoją przyszłość. Do drugiej - tacy mężczyźni jak Elijah Munroe.

- On jest super, nie uważasz? - spytała z westchnieniem zachwyty stojąca obok niej Marcie Gallagher, jedna z dyspozytorek ośrodka.

- Tak słyszałam - mruknęła Bronté.

Nie mówiła koleżance całej prawdy. Wiedziała dokładnie, jak wysoki jest Elijah Munroe (miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu), jak powabnie falują nad czołem jego gęste czarne włosy, jak przenikliwe jest spojrzenie jego niebieskich oczu, jak działa na kobiety jego urzekający uśmiech.

Zarówno na dziewiętnastoletnie dziewczyny, jak i na dziewięćdziesięcioletnie staruszki.

- Niestety nie zostanie u nas długo - stwierdziła z żalem Marcie, a Bronté kiwnęła potakująco głową.

Wiedziała również o tym, że każda kobieta, w której życie wkroczył Elijah, chodzi przez dwa miesiące z głową w chmurach, przekonana, że wy-

grała los na loterii. A on pewnego dnia z uśmiechem - zawsze tym samym urzekającym uśmiechem - po prostu znika.

- Dziwię się, że któraś z jego byłych przyjaciółek nie przebiła go jeszcze jakimś chirurgicznym narzędziem - odezwała się ironicznie, a Marcie wzdrygnęła się z przerażeniem.

- Czego ty od niego chcesz? Przecież on nikomu niczego nie obiecuje. Zawsze mówi otwarcie, że nie zamierza wiązać się na dłużej.

- Bardzo sprytnie.

- Ale musisz przyznać, że uczciwie.

Nie, po prostu sprytnie, pomyślała Bronté, nie spuszczać z oka Elijaha, do którego przyłączył się właśnie szef ośrodka ED7, George Leslie. Zawsze potrafi udawać uczciwego człowieka tak długo, dopóki nie osiągnie tego, o co mu chodzi. Jest sprytny i wyrachowany. Ale przecież ja nigdy nie uważałam go za głupca.

- Tylko lampart nie zmienia swojej cętkowanej skóry - mruknęła pod nosem, ale Marcie ją usłyszała.

- Czyżbyś go znała? - spytała z nadzieją, a Bronté potrząsnęła głową.

Wypierając się znajomości z Elijahem, nie kłamała, przynajmniej w sensie formalnym. Elijah w krótkich odstępach czasu zawładnął uczuciami jej trzech byłych współlokatorek, ale każdą z nich bardzo szybko porzucił. Nie mogła więc twierdzić, że go zna. Tym bardziej że kiedy spotkali się przypadkiem na korytarzu domu Wendy, minął ją bez słowa, całkowicie ignorując jej obecność, a wspomnienie tego faktu nadal było dla niej nieracjonalnie upokarzające.

- Wszyscy zachodzimy w głowę, z kim on się spotyka przez ostatnie dwa miesiące - ciągnęła Marcie. - Zwykle było to jasne w ciągu dwudziestu czterech godzin, ale tym razem zachowuje niezwykłą dyskrecję i nie afiszuje się ze swoją aktualną przyjaciółką.

Słowo „dyskrecja” nie pasowało zdaniem Bronté do Elijaha Munroe, którego uważała za wyrachowanego i cynicznego uwodziciela. Ale nie zamierzała dzielić się tą opinią z Marcie Gallagher.

- Jest już kwadrans po dziesiątej - powiedziała, chcąc zmienić temat. - Muszę iść na oddział.

- Czy jesteś pewna, że tam trafisz? - spytała Marcie. - Zaprowadziłabym cię na miejsce, ale...

- Zaraz zaczynasz dyżur - dokończyła za nią Bronté. - Nie ma problemu, dam sobie radę.

Nie będzie też żadnego problemu z Elijahem Mun-roe'em, pomyślała, patrząc za odchodzącą koleżanką. I cóż z tego, że będę się musiała z nim włóczyć po ulicach Edynburga przez siedem najbliższych nocy, obserwując każdy jego ruch. Mam już przecież trzydzieści pięć lat, znam jego sposób działania i wiem, ilu kobietom złamał serce. Ta wiedza zapewni mi przewagę.

Kogo ty usiłujesz oszukać? - spytała się w duchu, czując, że jej serce zaczyna bić szybciej pod wpływem uśmiechu Elijaha wywołanego jakąś uwagą George'a Lesliego. To, że tyle o nim wiem, nie uodparnia mnie na jego urok, którego istotnie mu nie brakuje.

- A więc dobrze się składa, że Elijah Munroe czaruje tylko piękne kobiety - powiedziała do swojego odbicia w szybie. - Piękne kobiety o figurach modelek i zachwycająco długich nogach. A ty nie zaliczasz się ani do jednych, ani do drugich.

Powinnam podziękować za to losowi, a przynajmniej usiłować okazać mu wdzięczność, pomyślała z determinacją, a potem uniosła wyzywająco podbródek i ruszyła w kierunku schodów mających doprowadzić ją do ostatniego człowieka na kuli ziemskiej, z jakim miała ochotę współpracować.

- Dlaczego ja? - spytał opanowanym głosem Elijah Munroe.

- Nie zakładałem, że odpowiesz: „Ach, to wspaniale!” - odparł George Leslie, niezawiedziony obojętnym tonem Elijaha.

Dobrze go znał, bo od pięciu lat był jego szefem. Uśmiechnął się do niego dobrotliwie, a potem westchnął, kiedy Elijah spojrzał na niego surowym wzrokiem.

- Eli, obaj wiemy, że Frank będzie nieobecny z powodu choroby co najmniej przez dwa tygodnie. Nie mam nikogo, z kim mógłbyś tworzyć zespół, a nie mogę wysłać w teren karetki bez dwuosobowej załogi, więc jeśli nie zamierzasz siedzieć na tyłku w biurze...

- Czy zdajesz sobie sprawę, że wysyłając ją ze mną, postępujesz niezgodnie z prawem? Okej, ona ma tylko prowadzić karetkę, ale co będzie, jeśli będę potrzebował fachowej pomocy?

- Panna O'Brian jest wykwalifikowaną pielęgniarką. Jeszcze rok temu była przełożoną pielęgniarek na oddziale ratownictwa w szpitalu Waverley General - oznajmił triumfalnie George Leslie, a Eli zmarszczył czoło.

Stacja pogotowia była położona w sercu starego miasta Edynburga, a to oznaczało, że większość pacjentów, których Eli zabierał, trafiała do szpitala Pentland, ale od czasu do czasu odwoził ich do Waverley. Nie pamiętał jednak pielęgniarki o nazwisku O'Brian.

- George...

- Eli, jeśli ludzie z obsługi ambulansów zdecydują, że ona nie ma odpowiednich kwalifikacji, żeby prowadzić ani żeby ci pomóc, to zupełnie mi wystarczy.

- Tak, ale...

- To tylko siedem nocy - przerwał mu George pojednawczym tonem. - Siedem nocnych dyżurów.

- Ona będzie zapisywać wszystkie nasze niedociągnięcia...
- Dlatego właśnie musisz ją sobie zjednać - odparł George. Potem zadrgały mu kąćki ust i dodał: -A wiem, że dla ciebie to kaszka z mlekiem.
- Czy ktoś mówił ci, że byłbyś wspaniałym stręczycielem? - spytał Eli ironicznie, a jego szef szeroko się uśmiechnął.
- Och, daj spokój, Eli. Przecież powszechnie wiadomo, że potrafisz postępować z kobietami.
- I że postanowiłem prowadzić samotniczy tryb życia. A zanim spytasz - ciągnął, widząc, że szef unosi brwi ze zdumienia - to nie dlatego, że zaraziłem się jakąś chorobą przenoszoną drogą płciową. Po prostu zdecydowałem się nie umawiać z kobietami przez trzy miesiące.
- Eli, nie proszę cię, żebyś uwodził pannę O'Brian -perswadował George. - Chcę tylko, żebyś był dla niej tak miły i ujmujący, jak tylko ty potrafisz. Posłuchaj, wiele zależy od oficjalnego sprawozdania - dodał pośpiesznie, widząc, że Eli otwiera usta, najwyraźniej chcąc z nim polemizować. - Krążą plotki, że zamierzają połączyć kilka stacji ambulansów w jedną, przeprowadzić redukcję zatrudnienia...
- Ale przecież już ograniczyliśmy miejsca pracy do absolutnego minimum - oświadczył Eli z gniewem, a jego szef kiwnął potakująco głową.
- To prawda, ale w obecnej sytuacji gospodarczej władze szukają sposobów, żeby zaoszczędzić trochę pieniędzy i jeśli będą mogły zlikwidować jakiś ośrodek, to go zlikwidują.
- Ale...

George Leslie ostrzegawczo uniósł rękę.

- Właśnie zjawiała się panna O'Brian - rzekł półgłosem. - Zostawię was samych, żebyście się poznali, ale bądź dla niej miły, dobrze? Bardzo dużo zależy od jej sprawozdania.

To wspaniale, po prostu świetnie, pomyślał Eli, kiedy szef pospiesznie odszedł. Wcale nie zamierzam być dla niej „miły”, nie chcę być reklamą naszego ośrodka.

Ze sztucznym uśmiechem odwrócił się w stronę kobiety, która przez siedem następnych nocy miała prowadzić jego ambulans. Patrząc, jak idzie w jego kierunku, doszedł do wniosku, że przynajmniej nie jest ślicznotką.

Przez minione dwa miesiące zdołał dotrzymać danej samemu sobie obietnicy i nie spotykać się z kobietami, więc byłoby niezwykle trudno, gdyby okazała się urodziwa, ale na szczęście stwierdził, że jest... przeciętna. Ocenił ją na około trzydzieści pięć lat, co oznaczało, że jest młodszą, niż oczekiwał. Miała trochę ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, brązowe ostrzyżone na chłopaka włosy, jasnoszare oczy i figurę...

Przechylił lekko głowę, ale nie był w stanie określić, czy jest szczupła czy korpulentna, bo miała na sobie przepisowe zielone workowate spodnie i dużą luźną kurtkę, która wszystko zasłaniała.

- Osiemdziesiąt sześć, sześćdziesiąt dwa, ale to nie pańska sprawa.

Eli gwałtownie się wyprostował.

- Słucham?

- Podałam panu moje wymiary - odparła. - Najwyraźniej badał mnie pan wzrokiem, więc chciałam zaoszczędzić panu kłopotu - dodała z nutką wyzwania w głosie.

Jaka harda, pomyślał. Takie lubię... Nie! Żadnych randek, żadnych związków z kobietami jeszcze przez najbliższy miesiąc. Ślubowałam i dotrzymam słowa.

- Nie zgadzam się - powiedział. - Co do zaoszczędzenia mi kłopotu, to ma pani rację - dodał, kiedy uniosła brwi pytająco - ale pozostaje jeszcze kwestia, że „to nie pańska sprawa”.

- Ciekawe podejście - zauważyła chłodno. - Czy personel tego ośrodka zawsze ocenia cechy fizyczne urzędowych rzeczoznawców?

- Tylko tych ładnych - odrzekł z uśmiechem, ale ku jego zaskoczeniu ona wcale się nie zaczerwieniła ani nie wyglądała na speszoną tak jak większość kobiet, kiedy prawil im komplementy.

Zamiast tego uniosła w górę trzy palce i zaczęła wyliczać.

- Po pierwsze, nie jestem ładna. Po drugie, kokietowanie na mnie nie działa, a po trzecie, jestem tu, żeby ocenić sprawność działania tego ośrodka, więc pańskie prywatne zdanie na temat mojego wyglądu jest zupełnie nieistotne.

Aha, pomyślał, lekko się krzywiąc. Więc panna O'Brian nie jest naiwna.

- Myślę, że powinniśmy jeszcze raz rozpocząć tę rozmowę - stwierdził, uśmiechając się z udawaną skruchą. - Nazywam się Elijah Munroe. Przyjaciele mówią do mnie Eli. Jest mi bardzo miło panią poznać - dodał, wyciągając do niej rękę.

- Ja nazywam się O'Brian. Dam panu znać we właściwym czasie, czy podzielam tę przyjemność - odparła, ściskając zdawkowo jego dłoń.

Jest także opryskliwa, stwierdził w duchu. Ale ja też potrafię zachowywać się w taki sposób.

- Bardzo proszę - odparł. - Ale choć w pełni rozumiem pani chęć utrzymania naszych stosunków na płaszczyźnie czysto zawodowej, pozwalam sobie zauważyć, że zwracanie się do pani pełnym imieniem i nazwiskiem może okazać się w nadzwyczajnych sytuacjach zbyt czasochłonne - dodał, z satysfakcją dostrzegając, że jej policzki lekko czerwienieją.

- Słuszna uwaga - przyznała, a potem z wyraźną niechęcią powiedziała: - Mam na imię Bronté.

To imię wydało mu się znajome, ale nie potrafił go zlokalizować.

- Bronté. Bronté... - powtórzył, marszcząc czoło. - Czy nie spotkaliśmy się wcześniej? Pani imię... wydaje mi się dziwnie znajome.

A niech to diabli! - zaklęła w duchu Bronté.

Dlaczego rodzice nie dali mi pospolitego imienia, takiego jak Mary czy Jane? Gdybym miała zwyczajne imię, na pewno by go nie zapamiętał.

- Wydaje się znajome z powodu sióstr Bronté - wyjaśniła pośpiesznie. - Charlotte...

- Emily i Anne - dokończył, a widząc na jej twarzy wyraz zdumienia, uśmiechnął się i dodał: - Pewnie myślisz, że jedyne książki, jakie czytam, to te z dużymi kolorowymi obrazkami i trzema słowami wydrukowanymi na dole strony.

Policzki Bronté poczerwieniały jeszcze bardziej, ale nie zamierzała dopuścić do tego, żeby mu to uszło na sucho.

- Oczywiście, że tak nie myślę - skłamała. - Po prostu nie sądziłam, że jesteś amatorem literatury epoki wiktoriańskiej.

- Och, wiele ludzi popełnia ten błąd, osądzając mnie wyłącznie po pozorach.

Więcej już tego błędu nie popełnię, pomyślała Bronté, widząc, że z jego niebieskich oczu zniknęło ciepło i serdeczność. Ciarki przeszły jej po plecach, lecz wiedziała, że nie mają one nic wspólnego z wiejącym na otwartym parkingu listopadowym wiatrem.

- Który z tych pojazdów jest naszym ambulansem? - spytała, rozmyślnie zmieniając temat, a kiedy Eli wskazał jej samochód, obok którego stali, ze zdumienia otworzyła usta. - Ale on jest...

- Wiekowy, zdezelowany, rozklekotany? Tak.

- Ale... - Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. - Nie rozumiem. Ambulans, który prowadziłam, zdając egzamin na zawodowe prawo jazdy był supernowoczesny, miał hydrauliczny podnośnik do noszy...

TLR

- Mamy takich siedem - przerwał jej. - Niestety, pięć z nich nie jest obecnie na chodzie, bo blokują się właśnie te hydrauliczne podnośniki. Ale proszę mi wierzyć, wcale nie marzymy o tym, żeby w wilgotną i wietrzną noc w Edynburgu nasz pacjent utknął w połowie drogi do wnętrza ambulansu.

- To prawda - odparła słabym głosem, a potem zauważyła, że Elijah cynicznie się uśmiecha.

- Witaj w realiach ośrodka transportu służby zdrowia.

Bronté nie mogła uwierzyć, że wszystkie te pojazdy są uszkodzone. Kiedy przygotowywała się do egzaminu na prawo jazdy, systemy hydrauliczne wszystkich ambulansów były sprawne. Co oznaczało, że albo ten ośrodek dostał pięć uszkodzonych pojazdów, co według niej było mało prawdopodobne, albo załogi eksploatowały je w sposób niewłaściwy.

- Górna lewa kieszeń.

- Słucham? - spytała zdezorientowana.

- Notatnik. Przecież widzę, że korci cię, żeby go wyciągnąć i zanotować, że w tym ośrodku demoluje się karetki. Masz go w górnej lewej kieszeni. Tam też jest twój długopis.

Do diabła, bystry z niego facet, pomyślała. Zbyt bystry.

- Czy mogę rozejrzeć się po kabinie kierowcy? - spytała ostrym tonem. - Skoro mam być twoim szoferem, chciałabym zobaczyć, czy jej wnętrze różni się od tego, w którym zdawałam egzamin.

- Ależ bardzo proszę - powiedział, a kiedy postawiła stopę wewnątrz kabiny, zmarszczył czoło. - Będziesz musiała zmienić te buty.

- Dlaczego? Przecież mam na nogach przepisowe buty. Takie mi przydzielono. One są...

- Tandetne - przerwał jej. - Żaden z pracowników nie nosi przydzielonych butów. Te - ciągnął, wskazując swoje stopy - przeszły zwycięsko różne próby. Chodziłem w nich po błocie, wymiotowali na nie pijacy, a pewnego dnia mój kierowca przez pomyłkę wrzucił wsteczny bieg i przejechał mi po nogach. Ale zarówno nogi, jak i buty przetrwały. Posłuchaj mojej rady i kup sobie buty w Harper & Stolins przy Cockburn Street. Ich model Safari jest najlepszy.

- Zapamiętam to sobie.

- Twój notes i długopis nadal są w tej samej kieszeni - oznajmił Eli z szerokim uśmiechem, który okropnie ją rozdrażnił. - Przecież chcesz zanotować moją radę, zanim ją zapomnisz, prawda?

A może chciałbyś, żebym wepchnęła ci mój długopis do dziurki w nosie? - zapytała w myślach. Potem zajęła fotel kierowcy i zaczęła przyglądać się tablicy rozdzielczej.

- Widzę, że macie tu terminal komputerowy i monitor, na którym wyświetlają się szczegóły każdej akcji.

- Tak - mruknął, siadając na miejscu pasażera. - To pożyteczna zabawka, kiedy funkcjonuje bez zakłóceń, ale często się zawiesza, więc o wiele ważniejszy jest ten gadżet. - Czule poklepał wmontowany w tablicę rozdzielczą radiotelefon. - Tylko pamiętaj, że musisz go wyłączyć, kiedy skończysz nadawać lub odbierać, bo to jest otwarta linia, więc twój głos dociera nie tylko do dyspozytora, ale i do innych ambulansów, co przynosi często zaskakujące skutki.

- Czy wszystkie wezwania przechodzą przez Ośrodek Dyspozycyjny w Oxfords? - spytała, usiłując ukryć irytację, a on kiwnął głową.

- Owszem. Siedem lat temu miłośnicy nam panujące władze postanowiły zamknąć wszystkie niniejsze ośrodki dyspozycyjne i zastąpić je jednym centralnym centrum koordynacyjnym.

- I chyba słusznie - powiedziała Brontë. - Po co rozpraszać dyspozytorów po całym Edynburgu, kiedy można stworzyć jedno centrum gwarantujące właściwe wykorzystanie sprzętu i najlepszą opiekę nad pacjentami.

- Brawo! - pochwalił ją ironicznym tonem, obdarzając przy okazji pełnym wyższości uśmiechem. - Widzę, że zapamiętałaś przeznaczone dla prasy wypowiedzi rzecznika prasowego służb medycznych.

- Przecież to prawda - odparła. - Ta zmiana była korzystna dla pacjentów.

- Z wyjątkiem tych pechowców, którzy nie zostali obsłużeni z powodu zbyt dużego natłoku zgłoszeń - mruknął Eli, a ona ze złością zacisnęła zęby.

- Jaki jest nasz sygnał wywoławczy? - zapytała, chcąc zmienić temat.

- A 38.-Uśmiechnął się szeroko.- Tyle, ile mam lat.

- Naprawdę? - spytała fałszywie życzliwym tonem. - Myślałam, że jesteś dużo młodszy.

Bo zachowujesz się jak dziesięciolatek, dodała w myślach.

- Zgodnie z instrukcją kierownictwa powinieneś dotrzeć do najbardziej zagrożonych pacjentów w ciągu ośmiu minut, do tych, których stan jest poważny, ale nie dramatyczny w ciągu czternastu, a do pozostałych w ciągu godziny. Jak często udaje ci się zmieścić w tych granicach?

- Skąd mogę wiedzieć - odparł ostrym tonem, a potem zagryzł wargi, jakby nagle coś sobie przypomniał. - Posłuchaj, czy możemy porozmawiać szczerze? Nie jak ratownik z pracownikiem zarządu służby zdrowia, ale jak dwoje zwykłych ludzi?

Była przekonana, że w jego pytaniu kryje się jakiś podstęp, zdawała sobie jednak sprawę, że jeśli siedem najbliższych nocy nie ma stać się dla nich obojga ponurym koszmarem, muszą podjąć próbę porozumienia.

- Oczywiście - odparła, a on odetchnął z ulgą.

- Nie potrzebuję cię w karetce. Nie mam nic przeciwko tobie osobiście, ale nie prosiłem o to, żeby siedział obok mnie jakiś specjalista od koordynacji piszący idiotyczne raporty. Ratownictwo medyczne ma swoje słabe strony i wszyscy o tym wiemy, ale nie da się go udoskonalić przy pomocy żonglowania cyferkami i pieprzoną statystyką. Potrzebujemy więcej pieniędzy, więcej sprzętu, więcej pracowników. A nieliczny, ale niestety bardzo aktywny sektor naszych potencjalnych pacjentów musi zrozumieć, że nie jesteśmy stowarzyszeniem bezpłatnych taksówkarzy obsługujących hipochondryków.

- A dlaczego przypuszczasz, że moje raporty będą idiotyczne i pełne pieprzonej statystyki? - zapytała Bronté, a on wybuchnął drwiącym śmiechem.

- Dlatego, że biurokratyczni pseudoeksperci od usprawniania pracy nie są zdolni do niczego więcej. Potrafią tylko porównywać postępowanie różnych ludzi w różnych sytuacjach, wyciągać z tego kretyńskie wnioski i stawiać im kretyńskie zarzuty.

Otworzyła usta, by udzielić mu stanowczej odpowiedzi, a potem zamknęła je i spojrzała na niego badawczo. Nie była pewna, czy może mu zaufać, ale ponieważ on najwyraźniej rozmawia z nią szczerze, po chwili wahania postanowiła postąpić tak samo.

- Czy będzie ci łatwiej znieść moje towarzystwo, jeśli się dowiesz, że występuję po raz pierwszy w roli kontrolera? Przeszłam, oczywiście, wszystkie szczeble szkolenia, ale jest to dla mnie pierwsza okazja do wykorzystania nabytej wiedzy w praktyce, więc daję słowo, że nie będę cię z nikim porównywać.

Patrzył na nią w milczeniu przez dobre pięć sekund, a potem nagle wybuchnął śmiechem.

- Do diabła, nie dość, że mam na karku biurokratkę od cyferek, to jeszcze w dodatku debiutantkę!

- Postępujesz nie fair - zauważyła drżącym z oburzenia głosem. - To ty zaproponowałeś, żebyśmy rozmawiali szczerze, a teraz, kiedy powiedziałam ci prawdę, zaczynasz ze mnie kpić. To wcale nie jest zabawne.

- Masz trochę racji. Może istotnie postępuję nie fair. Ale wbrew temu, co mówisz, cała ta sytuacja jest dość zabawna.

Bronté spojrzała mu z oburzeniem w oczy. Gdyby patrzył na nią z wyższością, chyba musiałaby go spoliczkować. Ale dostrzegła w jego wzroku tylko niewinne rozbawienie, więc mimo woli parsknęła śmiechem.

- No dobrze - przyznała. - Sytuacja jest dosyć zabawna, ale to nie moja wina, że zostałeś moją pierwszą ofiarą. Obiecuję jednak, że nie zakuję cię w kajdany ani nie wsadzę do więzienia.

- Szczerze mówiąc, może byłbym z tego zadowolony. Oczywiście, gdyby zamknęli nas w jednej celi.

Dostrzegła w jego oczach błysk rozbawienia i poczuła, że jej serce zaczyna bić coraz szybciej.

Opanuj się, Bronté, rozkazała sobie w duchu. Pięć minut temu chciałaś go uderzyć, a teraz gotowa jesteś pozytywnie zareagować na jego uwodzieńskie żarty. Przecież każda kobieta, która mu ulegnie, zasługuje na to, co ją spotyka.

- Czy nie powinniśmy już ruszać? - zapytała, ponownie zmieniając temat. - Nasz dyżur zaczyna się o dziesiątej trzydzieści, a jest już... - zerknęła na zegarek - za dwadzieścia jedenasta.

- Może wyda ci się to dziwne, ale my zwykle nie szukamy pacjentów. Zazwyczaj czekamy, aż do nas zadzwonią, ale jeśli masz ochotę krążyć po mieście...

Och, do diabła! - zaklęła w duchu, czując, że na jej policzkach pojawiły się rumieńce.

Doskonale wiem, że powinniśmy poczekać na wezwanie, ale czy on nie mógłby przestać wpatrywać się we mnie tymi swoimi błękitnymi oczami, bo to wytrąca mnie z równowagi. A ja za żadne skarby świata nie chcę się tak czuć w towarzystwie Elijaha...

W tym momencie rozległ się sygnał radiotelefonu umieszczonego na desce rozdzielczej, przerywając tok jej myśli. Z ulgą sięgnęła po słuchawkę.

- Tu ED7 - oznajmiła, a kiedy usłyszała w odpowiedzi kobiecy chichot, spojrzała na Elijaha ze zdumieniem. - Czyżbym zrobiła coś nie tak?

- ED7 to numer ośrodka - odrzekł łagodnym tonem. - A nasz to A38.

Cudowny początek, pomyślała, przygryzając wargę. Po prostu wspaniały...

- Przepraszam- mruknęła do słuchawki. -Tu A38.

- Pacjentka w ciąży - oznajmił kobiecy głos. -Laura Thomson. Skurcze porodowe co dwadzieścia minut. Queen Anne's Gate 12.

Bronté wyjechała z parkingu na ciemną ulicę, zanim dyspozytorka odłożyła słuchawkę.

- Czy włączyć syreny? - spytała, a Eli potrząsnął głową.

- Nie ma takiej potrzeby. Mimo oblodzonych jezdni będziemy tam za pięć minut. Zastanawiam się tylko, dlaczego, mając tak częste skurcze, tak długo zwlekała z wezwaniem.

Bronté pomyślała o tym samym.

Kiedy przyjechali do domu pacjentki, dowiedzieli się, że skurcze u zapłakanej przyszłej matki występują znacznie częściej niż co dwadzieścia minut.

- Próbowałam skontaktować się z mężem - wyjaśniła Laura Thomson. - On pracuje na nocnej zmianie w supermarkecie, żeby trochę dorobić. To jest nasze pierwsze dziecko, a on miał być obecny przy porodzie.

- Obawiam się, że go to ominie. No, chyba że zjawi się tutaj w ciągu najbliższych pięciu minut - odparł Eli, kiedy kobieta skręciła się z bólu, wydając przeszywający okrzyk. - Prawdę mówiąc, czułbym się bardziej szczęśliwy, gdyby była pani teraz w sali porodowej.

- Ale wtedy mój mąż nie wiedziałby, gdzie jestem - zaproponowała przyszła matka. - Wróciłby do domu i mnie w nim nie zastał. Okropnie by się zdenerwował.

Pobieżne badanie wykazało, że szyjka macicy jest znacznie rozszerzona, więc jeśli szybko nie dotrą do szpitala, to poród może nastąpić w ambulansie.

Zdając sobie z tego sprawę, Bronté chwyciła leżącą na stole kopertę, napisała na niej: „Pojechałam na oddział położniczy do szpitala Pentland” i położyła ją na kominku.

- Czy pani mąż ją zauważył? - zapytała. Kobieta kiwnęła głową i ponownie zgięła się wpół, krzycząc z bólu.

- Żadnych dyskusji, żadnych polemik. Natychmiast ruszamy - oświadczył Eli, a potem, zanim panie zdążyły się zorientować, co on zamierza zrobić, wziął Laurę na ręce. - Jedź szybko, Bronté - dodał przez ramię, wychodząc z domu zamaszystym krokiem. - Jedź bardzo szybko!

Ale Bronté nie miała okazji, by wykonać jego polecenie, bo zaledwie skręciła za róg Queen Anne's Gate, Eli kazał jej się zatrzymać.

- To dziecko spiesz się na świat - oznajmił, kiedy zaparkowała. - Ile wiesz o porodach, Bronté? - spytał, gdy wysiedli z karetki i podeszli do jej tylnych drzwi.

- Niewiele - odparła. - Na ratownictwo nie przywożono wielu rodzących kobiet.

- No cóż, witaj w klubie bocianów - wyszeptał Eli jej na ucho, a potem dodał głośno: - Już widać główkę dziecka, a skurcze następują co minutę.

- Chcę... mojego męża - wykrztusiła z trudem Laura. - Chcę, żeby tu przyszedł... natychmiast.

- Teraz musi pani skoncentrować się na oddychaniu - polecił jej Eli. - Proszę mi wierzyć, że da sobie pani radę i bez niego.

- Wiem! - zawołała Laura, a kiedy zaczęła przeć, jej twarz gwałtownie poczerwieniała. - Chcę, żeby tu był, żeby mogła go zabić, bo jeśli tak ma wyglądać poród, to dziecko nigdy nie będzie miało ani brata, ani siostry!

Elijahowi zadrgały kąćki ust.

- W porządku. Kiedy pani syn lub córka przyjdzie na świat, dam pani zgodę na zabicie pani męża - odrzekł, delikatnie sprawdzając, jak szybko wychodzi główka dziecka. - Ale teraz proszę działać zgodnie ze skurczami, nie próbować im się przeciwstawiać.

- Łatwo... panu mówić - wykrztusiła Laura, cedząc słowa. - A ja... mogę panu... to powiedzieć. Jeśli istnieje coś takiego jak... reinkarnacja... - zaciśnęła zęby i jęknęła - to w następnym wcieleniu wrócę tu... jako facet!

- Ja też - oświadczyła Bronté. - Ale na razie bardzo proszę przenieść. Jeszcze raz...

Laura skrzywiła się, poczerwieniała, a potem zaczęła przeć. Po chwili noworodek był już na świecie.

- Czy nic mu nie jest? - spytała Laura z niepokojem, próbując się unieść.
- Czy mojemu dziecku nic nie jest?

- Ma pani śliczną córeczkę - oznajmił Eli, lekko się wzdrygając, kiedy noworodek wydał z siebie ogłuszający okrzyk. - O wyjątkowo zdrowych płucach. Jedźmy teraz do szpitala - powiedział do Bronté, owijając niemowlę kocem. - Narodziny w ambulansie nie są najlepszym rozwiązaniem. Będę o wiele bardziej zadowolony, kiedy oboje znajdą się na położniczym.

- Tym razem wygraliśmy, Bronté - stwierdził Eli, kiedy wychodzili ze szpitala.

Bronté uśmiechnęła się i kiwnęła głową. Ale jego dobry nastrój nie trwał zbyt długo. Kiedy wsiedli do ambulansu, dostali kilka wezwań do pacjentów, których stan wskazywał na to, że zamiast dzwonić pod 999, mogli pójść rano do swoich lekarzy pierwszego kontaktu. Bronté dobrze wiedziała, o czym Eli myśli, widząc jego posępną minę.

- Czy napijesz się kawy? - spytał, kiedy szli przez poczekalnię oddziału ratownictwa szpitala Pentland. Przywieźli tam pracownika banku, który wyznał w ambulansie, że skręcił nogę w kostce dwa tygodnie wcześniej, ale był „zbyt zajęty”, żeby pójść do swojego lekarza rodzinnego. - Ja muszę wypić kawę... i to jak najszybciej.

- Niezły pomysł - przyznała Bronté, ale kiedy ruszyła w stronę szpitalnej stołówki, nagle zdała sobie sprawę, że Eli idzie w kierunku drzwi wyjściowych. - Myślałam, że chcesz napić się kawy - powiedziała, gdy go dogoniła.

- Ale nie tutaj - odrzekł. - Kawa, którą tu podają, zniszczy ci żołądek. U Tony'ego jest najlepsza kawa w Edynburgu. Tam chodzą wszystkie załogi karetek.

- Ale...

- Posłuchaj, po prostu prowadź, dobrze? Buccleuch Street, na końcu The Meadows. Nie możesz jej przegapić.

„Po prostu prowadź, dobrze?” - pomyślała ze złością. Pokazał mi, gdzie jest moje miejsce.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna zwrócić mu uwagi, przypomnieć, że jest urzędowym rzeczoznawcą, a nie taksówkarzem, ale odrzuciła ten pomysł.

Zamiast tego w milczeniu pojechała Buccleuch Street, a kiedy zatrzymała pojazd przed niewielkim budynkiem z migoczącym neonem, który świadczył o tym, że to właśnie jest działający dwadzieścia cztery godziny na dobę bar Tony'ego, wyłączyła silnik.

- Eli, a co będzie, jeśli dostaniemy wezwanie? - spytała, kiedy wyskoczył z kabiny.

- Naciśnij klakson, to przybiegnę. Czarna, z mlekiem, latte czy cappuccino?

- Cappuccino bez cukru, posypane dużą ilością czekolady, ale...

- Czy chcesz coś do jedzenia? - przerwał jej.

- Nie, ale...

- Później będziesz żałować - ciągnął. - Tony robi najlepsze dania barowe w całym Edynburgu.

Pewnie to prawda, pomyślała, gdy Eli zniknął w barze. Bez wątplenia też od razu przybiegnie, jeśli naciśnie klakson. Ale czy musi tak bardzo utrudniać sobie życie? Oczywiście, ma prawo zrobić sobie przerwę, kiedy tylko

zechce, ale żeby zaraz urywać mi głowę? Przecież wystarczy jedno moje słowo i może wylecieć z pracy.

Ale czy jestem do tego zdolna? - spytała się w duchu. Oczywiście, że nie. Byłam tak samo jak on zirytowana niektórymi wezwaniami. Muszę przyznać, że Eli doskonale daje sobie radę z pacjentami. Nie znosi też biurokracji, a dla niego na pewno jestem żywym jej ucieleśnieniem. Gdyby tylko wyszedł mi naprzeciw, gdyby zrozumiał, że dla mnie jest to równie trudne...

I gdyby nie przyniósł hamburgera, pomyślała z przerażeniem, gdy Eli otworzył drzwi i do kabiny wdarł się gryzący zapach smażonej cebuli.

- Chyba nie zamierzasz tego jeść - powiedziała, marszcząc nos, kiedy usiadł na miejscu dla pasażera, a w powietrzu uniósł się jeszcze silniejszy zapach.

- Czy masz coś przeciwko hamburgerom? - spytał, odgryzając kawałek mięsa z wyraźną przyjemnością.

- Nie, jeśli się go je o właściwej porze, a nie o wpół do czwartej rano...

- No cóż, tak właśnie pomyślałem - stwierdził. - Gdybyśmy, tak jak inni ludzie, pracowali od dziewiętej rano do piątej po południu, byłaby to pora lunchu.

- Masz rację - mruknęła bez przekonania, a potem wypila dwa łyki kawy.
- Muszę przyznać, że jest bardzo dobra.

- Mówiłem ci, że Tony parzy najlepszą kawę w Edynburgu - oznajmił, prostując nogi i opierając głowę na zagłówku. - A nic nie pobije porządnej dawki kofeiny spożytej w nocy, kiedy odwiedzasz wielu pacjentów, którym nie chce się czy też nie chciało pójść do lekarza.

Zerknęła na niego z ukosa. Bardzo dobrze pamiętała polecenia, które otrzymała. Żeby osobiście nie wiązać się z ośrodkiem, który ma ocenić. Żeby jej opinia była chłodna, obiektywna i rzeczowa.

Och, do diabła z poleceniami, pomyślała.

- Posłuchaj, Eli, doskonale rozumiem, że jesteś zdenerwowany postępowaniem pacjentów, których dziś odwiedziliśmy. Ale problem polega na tym, że choć ogromna większość ludzi zdaje sobie sprawę, że w razie nagłego wypadku wystarczy zadzwonić pod 999, tylko niewielka ich liczba chyba uważa, że jeśli przyjadą na ratownictwo ambulansem, to znacznie szybciej zostaną przyjęci przez lekarza, nawet jeśli nie dzieje się z nimi nic naprawdę złego - wyrzuciła z siebie.

- No cóż, jedna wizyta na oddziale ratownictwa szybko wyprowadzi ich z błędu - odrzekł. - Za moich czasów, jeśli coś wskazywało na to, że pacjent usiłuje wepchnąć się do lekarza bez kolejki, kazaliśmy mu czekać dłużej...

- Więc pracowałeś na ratownictwie? - spytała ze zdziwieniem.

Eli dokończył hamburgera, zgniótł papier, którym był on owinięty, i wrzucił go do schowka w samochodzie.

- Dziesięć lat w Southern General w Glasgow, na moje nieszczęście. Byłem przełożonym pielęgniarok, dopóki nie rzuciłem tej roboty.

- Ale dlaczego? - spytała z zaciekawieniem. - Dlaczego z niej zrezygnowałeś?

Eli wypił duży łyk kawy i wzruszył ramionami.

- Miałem nadmiar papierkowej roboty, zbyt wiele czasu musiałem poświęcać, uganiając się za ważnymi konsultantami, którzy nie zadawali sobie trudu, żeby przyjść na nasz oddział i przyjąć pacjenta.; - Spojrzał na nią. - Podobno byłaś przełożoną pielęgniarok na ratownictwie w szpitalu Waverley, zanim zostałaś biurokratką od cyferek. Dlaczego zrezygnowałaś?

- Z podobnych powodów... - odparła wymijająco, a on obrzucił ją badawczym spojrzeniem.

- Nieprawda. To było coś innego.

Ma rację, że było to coś innego, ale nie mam zamiaru tego potwierdzać, pomyślała. Moje prywatne, życie należy do mnie.

- Czy zadowolili cię, jeśli powiem, że to nie twoja sprawa?

- To nie fair - zaprotestował. - Ja udzieliłem ci szczerzej i wyczerpującej odpowiedzi.

- Czy nikt ci nie mówił, że życie nie jest fair? - odparowała, pragnąc, by porzucił ten temat. - Posłuchaj, moje powody są moją sprawą, jasne?

Zerknął na nią ponad brzegiem polistyrenowego kubka.

- I tak się dowiem - mruknął. - Jak zawsze...

- Taki jesteś wszechwładny, co? - przerwała mu z irytacją, a on szeroko się uśmiechnął.

- Nie. Po prostu jestem dobry w wyciąganiu od ludzi informacji, które mnie interesują. Prawdę mówiąc...

- Prawdę mówiąc, co? - spytała, kiedy urwał i spojrzał na nią niewidzącym wzrokiem. - Eli...

- Naturalnie! - zawołał, stukając się w czoło.

- Teraz sobie przypominam, dlaczego twoje imię wydało mi się znajome. Wendy Littleton, pielęgniarka na położniczo-ginekologicznym w szpitalu Pentland. Dwa lata temu spotykaliśmy się, a ona mieszkała z koleżanką o imieniu Bronté. Chyba nie zaprzeczysz, że chodziło o ciebie?

Westchnęła w duchu. Mogłaby zaprzeczyć, ale jak wiele kobiet o imieniu Bronté mieszka w Edynburgu? A poza tym, jakie to ma znaczenie?

- Owszem, to byłem ja - odparła z rezygnacją.

- Jaki mały jest ten świat! - zawołał Eli. - Wendy Littleton. Jeśli dobrze pamiętam, miała cudowne czarne włosy i duże piwne oczy.

- W rzeczywistości miała brązowe włosy i niebieskie oczy - poprawiła go szyderczym tonem.

- Och. Istotnie. - mruknął. - Ale my nie poznaliśmy się, prawda?

Czy powinnam być dla niego miła, czy też wprawić go w zakłopotanie? - spytała się w duchu. Nie, nie wolno mi wszczynać żadnej walki.

- Owszem, spotkaliśmy się, ale tylko jeden raz - odrzekła. - Ale najwyraźniej nie zrobiłam na tobie wielkiego wrażenia. Wendy też nie, jeśli się nad tym zastanowić - ciągnęła. - Zwłaszcza biorąc pod uwagę to, że ją zostawiłeś.

- Ja jej nie zosta...

- Zostawiłeś, odszedłeś od niej. Zresztą nazywaj to, jak chcesz - oznajmiła. - Zasadnicza kwestia polega na tym, że po tym, jak ją rzuciłeś, wyemigrowała do Australii. W końcu przed dwoma miesiącami wyszła za mąż.

- To dobra wiadomość... - powiedział z wyraźną ulgą, ale Bronté nie zamierzała przestać mówić.

- Ale dla mnie nie była taka dobra. Mieszkanie, które zajmowałyśmy, było własnością ojca Wendy, więc kiedy ona wyjechała, sprzedał je, żeby dać jej trochę pieniędzy. A ja zostałam pozbawiona dachu nad głową.

- Aha.

- No właśnie! Aha. Na szczęście, udało mi się znaleźć pokój w mieszkaniu, które wynajmowała pielęgniarka z chirurgii w szpitalu Pentland. Nazywała się Anna Browning. Czy to nazwisko coś ci mówi?

Bronté zauważyła ze zdumieniem, że poczerwieniał.

- Tak - przyznał z zakłopotaniem. - Posłuchaj, Bronté...

- Niestety, Anna wróciła do Walii po tym, jak ją zostawiłeś - ciągnęła stanowczym tonem - więc musiałam znów szukać mieszkania. I wtedy po-

znałam Sue Davey z pediatrii. To ona miała cudowne czarne włosy i duże piwne oczy.

- Już wystarczy, dosyć. No dobrze, mieszkałaś z kilkoma moimi byłymi sympatiami - odezwał się Eli z wyraźnym rozdrażnieniem. - Umawianie się z dziewczętami nie jest chyba przestępstwem, co?

Nie, ale rozkochiwanie ich w sobie, a potem porzucanie na pewno tak, pomyślała. Miała ochotę ostro mu odpowiedzieć, ale zanim zdołała otworzyć usta, rozległ się sygnał radiotelefonu i Eli sięgnął po słuchawkę.

- A38 - warknął.

- Hej, Eli, nie strzelaj do posłańca - zawołał kobiecy głos. - Dwudziesto-sześćoletnia kobieta, Rose Gordon, podobno nie jest w stanie zrobić kroku ani mówić. Bank Street 56. Jest z nią rodzina.

Bronté szybko wrzuciła bieg.

- Chociaż te symptomy sugerują udar, lepiej jest nie zakładać niczego z góry, bo można coś przegapić - stwierdził Eli, wciąż zirytowany. - Na szczęście jest z nią rodzina, więc miejmy nadzieję, że udzieli nam dokładniejszych informacji.

Tak też się stało. Państwo Gordonowie byli bardzo zdenerwowani, ale nie histeryzowali.

- Nigdy dotąd nic takiego się nie zdarzyło - powiedziała pani Gordon, spoglądając na męża i szukając jego potwierdzenia. - Ona nie jest w stanie chodzić ani mówić i... - Cicho zaszlochała, kiedy popatrzyła na swoją córkę, która siedziała bez ruchu w fotelu. - Wydaje się nieobecna. Wygląda, jakby była nietrzeźwa, ale ona nie pije alkoholu.

- Czy córka ma jakieś kłopoty zdrowotne, o których powinniśmy wiedzieć? - spytał Eli, kucając obok Rose, żeby zmierzyć jej tętno.

- Ma cukrzycę typu 1 - odrzekł pan Gordon, który był blady i wymizowany. - Ale regularnie przeprowadza testy, nigdy nie zapomina o dawce insuliny, więc nie myślę, żeby jej stan miał z tym jakiś związek.

Bronté wymieniła znaczące spojrzenie z Elijahem. Oboje doskonale wiedzieli, że istnieje taka możliwość. Rose Gordon miała bladą, lepka od potu twarz i patrzyła nieprzytomnym wzrokiem w przestrzeń. Kiedy u diabetyka typu 1 poziom cukru jest bardzo niski, może on łatwo wpaść w hipoglikemię. Wtedy wydaje się nieobecny i nie jest w stanie mówić ani chodzić.

- Czy córka ostatnio miała dużo pracy? - spytała Bronté, podając Elijahowi torbę lekarską. - Czy zmienił jej się ustalony porządek dnia?

Pani Gordon potrząsnęła głową.

- Ona uczy w szkole... od czterech lat, a rozkład zajęć ma taki jak zwykle. Poza tym nie robi nic, czego nie robiła wcześniej.

- Teraz chodzi do siłowni - wtrąciło cicho jakieś dziecko. - Powiedziała, że to jej pomaga radzić sobie z napadami złości.

Eli i Bronté odwrócili głowy i ujrzeni chłopca w wieku około ośmiu lat, który stał w drzwiach, a w jego szeroko otwartych oczach malował się strach. Pani Gordon wyciągnęła do niego rękę i objęła go, chcąc dodać mu otuchy.

- To jest Tom, brat Rose - wyjaśniła. - Nic jej nie będzie, kochanie - wyszeptwała do synka. - Ci mili państwo zrobią wszystko, żeby poczuła się dobrze.

Bronté miała wrażenie, że pani Gordon stara się o tym przekonać nie tylko swojego synka, ale i samą siebie.

Eli pospieszenie pobrał krew Rose, wiedząc, że ćwiczenia w siłowni mogły wpłynąć na poziom glukozy we krwi.

- Jeden przecinek sześć mikromola - mruknął do Bronté, która słysząc to, wzięła głęboki wdech.

Doskonale wiedziała, że poziom glukozy we krwi diabetyka powinien mieścić się w przedziale między cztery i pół a dwanaście mikromoli, więc ten wynik jest niebezpiecznie niski.

Szybko podała mu glukagon.

- Czy coś jest nie tak? Co się z nią dzieje? - pytała pani Gordon przerażonym głosem, kiedy Eli szukał na ręce jej córki odpowiedniej żyły.

- To hipoglikemia - wyjaśniła Bronté. - Podejrzewam, że Rose zapomniała coś zjeść przed pójściem do siłowni i energia, którą włożyła w ćwiczenia, wypłukała cukier z jej organizmu. Proszę się nie martwić - ciągnęła, widząc wyraz niepokoju na twarzy matki. - Rose nic nie będzie. Proszę dać jej piętnaście minut, a będzie jak nowa.

Było jasne, że państwo Gordonowie jej nie uwierzyli, ale po piętnastu minutach Rose istotnie wstała niepewnie i zaczęła wszystkich przepraszać. Eli podał jej słodką galaretkę, żeby jeszcze bardziej podnieść poziom glukozy, a kiedy stwierdził, że wzrósł on do czterech i sześciu dziesiątych mikromola, poprosił panią Gordon o przygotowanie dla córki makaronu.

- Rose potrzebuje węglowodanów - wyjaśnił. Pani Gordon natychmiast pobiegła do kuchni. Eli zapewnił ojca Rose, że jest mało prawdopodobne, by atak hipoglikemii się powtórzył, jeśli córka będzie jadła, zanim zacznie ćwiczyć.

Potem wraz z Bronté poszli do ambulansu.

- To miło, kiedy uda ci się pomóc pacjentowi odzyskać formę w tak krótkim czasie, prawda? - spytała Bronté.

- To jedna z zalet tej pracy - odrzekł Eli.

Ale jego wygląd tego nie potwierdzał. W miarę upływu nocy stawał się coraz bardziej posępny i milczący, a kiedy bladym świtem w końcu wrócili do stacji ambulansów ED7, Bronté doszła do wniosku, że ma już tego dosyć.

- Posłuchaj, Eli - zaczęła, kiedy szli przez parking w stronę ulicy. - Możesz uważać, że to dla mnie nowe zajęcie, ale przez siedem lat pracowałam na oddziale ratownictwa. Wiem wszystko o ludziach, którzy mogli pójść do swojego lekarza, zamiast wzywać ambulans. Uwierz mi, że nie zamierzam...

- Nie myślę o ludziach, u których byliśmy tej nocy - przerwał jej ze zniecierpliwieniem.

- Wobec tego skąd ten zły humor?

- To jest sprawa... - Zamilkł i potrząsnął głową.

- Osobista.

- No... dobrze - odparła. - Wyrzuć to z siebie.

- Dotyczy to tego, co wcześniej powiedziałaś o swoich współlokatorach... Chyba powinnaś wiedzieć, że przestałem umawiać się na randki. Po prostu zrobiłem sobie przerwę.

Bronté nie spodziewała się tego usłyszeć. Wbiła w niego zdumiony wzrok.

- A mówisz mi to dlatego, bo...? - zaczęła, czując kompletny mętlik w głowie.

Przez chwilę Eli wydawał się nieco zawstydzony, a potem jego usta wykrzywił uśmiech.

- Po prostu pomyślałem, że powinnaś o tym wiedzieć na wypadek, gdybyś obawiała się, że mogę zacząć cię podrywać albo miała nadzieję, że... no, wiesz.

Bronté się wyprostowała.

- Gdybym miała nadzieję, że co? - spytała, spoglądając na niego groźnym wzrokiem.

- Och, daj spokój, Bronté. Przecież wszyscy wiedzą, że lubię kobiety... a one mnie.

Bronté otworzyła usta, potem je zamknęła, a po chwili potrząsnęła głową z oburzeniem i niedowierzaniem.

- Więc powiedziałeś, że ja... Myślisz, że ja...

- Bronté...

- Możesz mi wierzyć lub nie - ciągnęła z wściekłością. - Twoje wdzięki, o ile w ogóle je posiadasz, na mnie nie działają. A gdybyś próbował, jak to poetycko ująłeś, mnie podrywać, potrzebowałbyś natychmiastowej pomocy dentysty. Nie jesteś w moim typie. A nawet gdybyś był... - Nie mogła powstrzymać się i dodała: - Ja też zrobiłam sobie przerwę i nie umawiam się na randki.

- Dlaczego?

Do diabła, jak zwykle powiedziałam za dużo, pomyślała. Ale nie mam zamiaru wyjawiać mu nic więcej.

- Ja... - zaczęła lodowato - idę do domu się przespać, a ty... możesz robić, co tylko zechcesz.

- Bronté, posłuchaj...

Ale ona odwróciła się na pięcie i ruszyła zamaszystym krokiem w kierunku swojego domu, zdając sobie sprawę, że gdyby została, na pewno by go uderzyła.

Ale podoba ci się, prawda? - spytała się w duchu, a potem zakłęła pod nosem. Nie, on nie jest w moim typie. Jest zbyt pewny siebie, arogancki i zadufany w sobie.

Ale czy nie uważasz, że ma cudowne oczy?

Istotnie. Za takie oczy można dać się zabić. I gęste włosy, które chce się gładzić, a jeśli chodzi o jego ramiona...

Do diabła! - zaklęła w myślach. A praca z nim jest jak przestrzeganie diety w cukierni. Wiesz, że ciastka ci nie służą, a mimo to masz na nie wielką ochotę.

Ale to wcale nie oznacza, że zamierzam ulec tej pokusie. Muszę tylko pracować z nim jeszcze przez sześć kolejnych nocy. I nie zamierzam robić z siebie idiotki w obecności faceta o jego reputacji...

- Nie ma mowy. Nigdy w życiu - powiedziała głośno, idąc pustą ulicą Edynburga.

TLR

ROZDZIAŁ DRUGI

Wtorek, 22:07

- Nie interesuje mnie, po co to robisz ani kogo chcesz zdenerwować, ale więcej nie wsiądę do ambulansu z Bronté O'Brian!

- Eli, przerabialiśmy to wczoraj - zaproponował George Leslie. - Nie mam nikogo, kto mógłby z nią jeździć. A jeśli wyznaczę innego ratownika, żeby cię zadowolić, to będzie wielka draka.

- Czy ona nie może wziąć dziennej zmiany? - spytał Eli.

- Kiedy dowiedziałem się, że przydzielono ją do nas, zasugerowałem, żeby pracowała w dzień - odparł szef. - Niestety, jej pracodawcy nalegali, żeby dać jej nocną zmianę.

- Wszyscy doskonale wiemy, co to oznacza - zauważył Eli z irytacją. - Oni myślą, że szlachetni mieszkańcy Edynburga będą w nocy leżeć w ciepłych łóżeczkach, a my dostaniemy minimalną ilość wezwań i w związku z tym wykorzystają to jako pretekst do redukcji personelu.

- Tak przypuszczam - mruknął George, kiwając głową.

- Charlie Woods... ma wobec mnie dług wdzięczności. Jestem pewny, że bez trudu się ze mną zamieni i...

- Gdyby nie to, że jego żona ma rodzić lada dzień - przerwał mu George. - Eli, czy ty po prostu nie możesz się z tym pogodzić? Wielkie nieba, jedną noc masz już za sobą. Zostało ci tylko sześć...

- Nie masz pojęcia, co to za kobieta - mruknął Eli. - Jest uparta jak osioł, pewna siebie i uważa, że zawsze ma rację...

- Chyba jest trochę do ciebie podobna - stwierdził George z szerokim uśmiechem.

- Bzdura! - zawołał Eli. - George, ja się wycofuję. Musi istnieć jakiś sposób, żebyś mnie z tego wypłatał. W przeciwnym razie daję słowo, że...

- Że co zrobisz? - spytał George gniewnym głosem. - Odejdiesz? Na li- tość boską, człowieku, nie proszę cię, żebyś nawiązywał z nią silną więź, żebyś na zawsze został jej najserdeczniejszym przyjacielem. Proszę cię tyl- ko o to, żebyś był dla niej uprzejmy, sympatyczny i wykonywał swoje obowiązki, za które ci zresztą płacą.

- Ale...

- I zwracam ci uwagę, że nie tylko twoje stanowisko zawisnie na włosku, jeśli ona wystawi nam kiepskie świadectwo - ciągnął George, a na jego zwykle łagodnej twarzy pojawiły się wypieki. - To dotyczy wszystkich, więc weź się w garść, przyklej sobie uśmiech i bądź miły.

Łatwo ci to mówić, pomyślał Eli, gdy szef odszedł. Ty nie musisz praco- wać z tą cholerną kobietą. Nie musisz siedzieć obok takiej wścibskiej mą- drali, która nieustannie wtyka nos tam, gdzie nie trzeba i robi drwiące uwa- gi na temat mojego postępowania z panienkami.

Zaklął pod nosem, kopiając ze złością w oponę ambulansu.

A niech to wszyscy diabli! Jakie ona ma prawo osądzać moje układy z panienkami? Przecież nigdy żadnej nie oszukałem. Nigdy nie okłamałem. Zawsze byłem otwarty, jasno dawałem każdej do zrozumienia, że nie zamierzam wiązać się na dobre, więc w czym problem?

Nagle usłyszał odgłos kroków.

Odwrócił się i ujrzał Bronté, która z kamienną miną zmierzała w jego kierunku.

George ma rację, pomyślał. Nieważne są moje osobiste odczucia, bo nie tylko ja nadstawiam karku. Jeśli Bronté O'Brian wystawi ośrodkowi złą opinię, polecą wiele głów. Ludzi, którzy mają rodziny, zobowiązania... więc muszę w jakiś sposób ugłaskać tę kobietę.

- Bronté, czy możemy porozmawiać? - spytał, kiedy zbliżyła się do niego.

- Żyjemy w wolnym kraju - odparła.

Nie była to zachęcająca odpowiedź, więc Eli mocno zacisnął zęby. Nigdy w życiu nie czuł potrzeby przeproszenia za coś, co zrobił, ale teraz zamierzał tak postąpić bez względu na konsekwencje.

- Chciałbym porozmawiać o dzisiejszym poranku, o tym, co powiedziałem... - Zacisnął zęby jeszcze mocniej. - Pewnie uważasz mnie za pewnego siebie aroganta.

- Nie zaprzeczam - oznajmiła, a on zacisnął pięści.

- To, co powiedziałem rano... Nie powinienem był tego mówić.

- Zgadza się.

- Posłuchaj, w tej chwili cię przeproszam - wybuchnął - więc czy nie możesz dać mi szansy i mi pomóc?

Bronté przechyliła głowę i spojrzała na niego z zadumą.

- Przyznałeś, że zachowałeś się jak pewny siebie arogant - stwierdziła - ale nie usłyszałam ani słowa przeprosin.

- Okej, już dobrze - odburknął. - Przeproszam. Nie powinienem był tego mówić, więc cię przeproszam.

Bronté milczała przez chwilę, a potem ku jego zaskoczeniu kąci jej ust lekko się uniosły.

- Dlaczego odnoszę wrażenie, że raczej wolałbyś dać sobie wyrwać paznokcie, niż kogoś za coś przeprosić?

Eli uśmiechnął się z niechęcią, dochodząc do wniosku, że bystra z niej kobieta, czego za nic w świecie nie powiedziała by głośno.

- Czy możemy zawrzeć rozejm i zacząć wszystko od nowa? - zaproponował. - Obiecuję, że nie otworzę ust, jeśli...

- Nie będę poruszała tematu twoich byłych sympatii - dokończyła za niego, a on kiwnął głową.

- Zatem czy zawieramy układ? - spytał, wyciągając do niej rękę.

A niech to! - pomyślała, a kiedy ucisnęła jego dłoń, poczuła przyjemny dreszcz.

Dziś wieczorem przyszła do pracy wciąż na niego zła, wręcz wściekła, a teraz ten szczupły, dobrze zbudowany i niezwykle pociągający mężczyzna ścisną jej dłoń, sprawiając, że ona czuje taką przyjemność...

Jak do tego doszło? Jak udało mu się w jednej chwili całkowicie zmienić temperaturę jej uczuć?

Złożyło się na to wiele lat praktyki, wyjaśniła sobie w myślach. Więc uważaj, Bronté, bo inaczej skończysz jak te wszystkie dziewczyny, które on porzucił.

- Zrobiłaś marsową minę - ciągnął Eli, a wyraz irytacji na jego twarzy zastąpił teraz uśmiech. - Czy to oznacza, że zamierzasz zmusić mnie do kolejnych przeprosin albo...?

- Zawarliśmy układ - przerwała mu. - Tyle tylko, że...

Eli zmarszczył brwi.

- Że co?

- Czy mogę cię o coś spytać? Nie musisz odpowiadać, jeśli nie będziesz chciał, ale czy ty kiedyś zamierzasz się ustatkować? To znaczy ułożyć sobie życie z jedną kobietą?

- Do diabła, nie - odparł. - Nigdy nie byłem żonaty ani zaręczony i nie zamierzam być. Żadnych trwałych związków, żadnej odpowiedzialności. Tak właśnie wyobrażam sobie cudowne życie.

- Mam wrażenie, że ktoś musiał cię bardzo zranić - stwierdziła, a on przewrócił oczami ze zniecierpliwieniem.

- Dlaczego szukasz we mnie głęboko zakorzenionych przyczyn psychologicznych na podstawie tego, że nie chcę wiązać się z żadną kobietą, nie chcę czuć się jak w potrzasku?

- Po prostu zaciekało mnie, co nakręca takiego podrywacza jak ty?

Kąciki jego ust lekko się uniosły.

- Seks.

- I tylko to?

- Prawie tylko.

Teraz ona przewróciła oczami.

- Jesteś niemożliwy.

- To, co ty uważasz za podrywanie, ja nazywam przyjemną zabawą - oznajmił. - Gdyby więcej osób zdało sobie sprawę... pogodziło się z tym, że nic nie trwa wiecznie i że powinny korzystać z życia, byłyby o wiele bardziej szczęśliwe.

- A ty jesteś szczęśliwy? - spytała, przyglądając mu się z zaciekawieniem.

Ze wszystkich głupich pytań, jakie mogła zadać, to jest najgłupsze, pomyślał.

- Oczywiście, że jestem szczęśliwy - odrzekł. - Mam pracę, którą lubię, ładne mieszkanie, grono serdecznych przyjaciół. Dlaczego nie miałbym być szczęśliwy?

- Gratuluję - oświadczyła z uśmiechem. - Naprawdę bardzo się z tego cieszę - dodała, widząc, że Eli unosi brwi, najwyraźniej chcąc zakwestionować jej uwagę. - Że jesteś zadowolony z życia, że nie chcesz i nie potrzebujesz niczego więcej... Musisz być bardzo szczęśliwy.

To wcale nie jest szczęście, pomyślał, kiedy rozległ się dźwięk radiotelefonu i Bronté podniosła słuchawkę. Ale nie skłamał, mówiąc, że jest szczęśliwy. Bo to prawda. Choć ta trzymiesięczna dobrowolna wstrzemięźliwość zaczynała już działać mu na nerwy, a w pustym mieszkaniu czuł się samotny, to ten celibat był niezbędny po tym, co zaszło z Zoe. To był błąd, którego z pewnością nigdy już nie popełni.

- Mężczyzna w średnim wieku stracił przytomność w supermarkecie - oznajmiła Bronté, przerywając jego rozmyślenia. - Jest sam, bez rodziny, ale zajmuje się nim ratownik supermarketu.

- To może być wszystko. Może mieć atak serca, może być pijany albo po prostu udaje - stwierdził Eli.

Kobieta ratownik nie uważała, że mężczyzna udaje. Kiedy przyjechali na miejsce, biegała wokół pacjenta w panice, a gdy ich ujrzała, odetchnęła z wyraźną ulgą.

- Stał przy kasie, zasłabł i się przewrócił - oznajmiła. - Ułożyłam go w bezpiecznej pozycji, ale nie mam prawa robić nic więcej. Kurs pierwszej pomocy, na który chodziłam... trwał zaledwie cztery weekendy, więc.

- Postąpiła pani prawidłowo - przerwał jej Eli, uśmiechając się szeroko. - Teraz ja przejmę obowiązki.

Bronté pokręciła głową, kiedy młoda dziewczyna poczerwieniała jak burak i wyraźnie oszołomiona o-deszła.

- To nie fair. Ta biedaczka była wystarczająco skołowana już wcześniej, a ty jeszcze ją dobiłeś.

- Cóż mogę poradzić na to, że jestem taki czarujący? - zażartował Eli z wesołym błyskiem w oczach, a Bronté z trudem powstrzymała się od pokazania mu języka.

I ma rację, pomyślała. Bez wątpienia jest czarujący... Ale niestety, jest tak zmienny jak pogoda. Ale lubisz go, prawda?

Och, mogłabym go polubić, przyznała w duchu, spoglądając na jego palce i nagle mimo woli wyobraziła sobie, jak on ją dotyka... Do diabła, naprawdę mogłabym go polubić, ale nigdy w życiu bym się z nim nie związała.

- Co do tego pacjenta nie jestem pewny... - rzekł Eli półgłosem. - Co ty o tym myślisz, siostró O'Brian?

Miał poważną minę, ale Bronté zauważyła błyski w jego oczach i doskonale wiedziała, co one oznaczają. Choć pacjent nie był w stanie otworzyć i zamknąć oczu na komendę ani odpowiedzieć na zadawane mu pytania, wyglądał na najzdrowszego chorego człowieka, jakiego widziała.

- Zalecałabym przetestować jego odruchy, panie Munroe - odparła, a na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

Delikatnie uniósł rękę mężczyzny, przesunął ją bezpośrednio nad jego twarz i puścił... W jakiś magiczny sposób nie opadła ona bezwładnie i nie uderzyła go w nos, tak jak powinna, ale wylądowała po prostu u jego boku.

Eli głęboko westchnął.

- Obawiam się, że to coś poważniejszego, niż myślałem - oznajmił, a Bronté mocno przygryzła wargę, by nie wybuchnąć śmiechem.

Już wcześniej, kiedy pracowała na ratownictwie, miała do czynienia z podobnymi przypadkami. Czasami pacjenci byli umysłowo chorzy lub pijani, ale najczęściej udawali nieprzytomnych, chcąc wywikłać się z jakiejś

niezręcznej sytuacji. A sądząc po ilości butelek alkoholu, które ten mężczyzna miał w wózku, podejrzewała, że zamierzał wyjść ze sklepu, wcale za nie nie płacąc.

- Może zrobimy test oczodołu - zasugerowała, a Eli mrugnął do niej porozumiewawczo.

Wiedziała, że jeśli pacjent istotnie jest nieprzytomny, to ledwo zareaguje, ale jeśli nie...

Eli nacisnął mocno palcem na górną część jego oczodołu. Mężczyzna otworzył oczy, usiadł, spojrzał na nich gniewnym wzrokiem, a potem chwycił się rękami za głowę i wydał z siebie nieprzekonujący jęk.

- Nie wiem, co się stało - mruknął łamiącym się głosem. - Już miałem płacić za zakupy, a potem... zrobiło mi się słabo.

- To może się zdarzyć - przyznał Eli, pomagając mu wstać. - Dlatego myślę, że powinien pan pójść do domu i położyć się do łóżka. Proszę zapomnieć o zakupach. Może pan zrobić je jutro.

- Ale...

- Proszę nam nie dziękować - ciągnął Eli, prowadząc go w stronę drzwi wyjściowych. - To nasza praca.

Mężczyzna wyraźnie nie zamierzał im dziękować ani prowokować wysokiego umięsnionego ratownika, więc z wściekłością w oczach wyszedł z supermarketu i zniknął w ciemnościach.

- Wiesz, wciąż mnie zadziwia, do czego człowiek może się posunąć w udawaniu chorego - zauważyła Bronté, kiedy szli do ambulansu.

- Uhm. No cóż, gdybyś siedziała w tym tak długo jak ja, nic nie byłoby dla ciebie dziwne - odrzekł Eli.

Spojrzała na niego surowo.

- Jeśli w ten, niezbyt subtelny sposób chcesz się dowiedzieć, dlaczego odeszłam, to zapomnij o tym.

- Nie możesz winić faceta za to, że próbuje - powiedział z szerokim uśmiechem, a ona potrząsnęła głową.

- Prawdę mówiąc, nie myślę, żebyś to ty rzucał swoje dziewczyny. Sądzę, że to one rzucają ciebie, bo stale zadajesz te same pytania, a one nie mogą tego dłużej znieść.

- Och, bardzo dowcipne, okropnie śmieszne - odparł ironicznie. - Czy mogłabyś przestać mówić, że rzucam kobiety? Raz jeszcze ci powtarzam, że ja ich nie rzucam. Po prostu razem decydujemy, kiedy nasz związek się rozpada.

- Tak, jasne. Czy chciałbyś poznać moją teorię dotyczącą tego, dlaczego zrobiłeś sobie trzymiesięczną przerwę w randkach z dziewczętami?

- A czy mam jakiś wybór?

- Myślę, że byłeś nieostrożny - oznajmiła, lekceważąc ton irytacji w jego głosie. - Sądzę, że twoja ostatnia dziewczyna za bardzo się do ciebie zbliżyła. Zaczęła przynosić do domu czasopisma dotyczące ślubów, zatrzymywać się przed wystawami sklepów jubilerskich i pokazywać ci pierścionki zaręczynowe. To cię wkurzyło i teraz próbujesz ustalić, gdzie popełniłeś błąd.

- To niezłe przypuszczenie.

- Czy ustaliłeś, gdzie popełniłeś błąd? - spytała.

- Niezupełnie. Na jak długo zrezygnowałaś z randek?

- Na zawsze.

- Na zawsze? - zawołał. - Do diabła, ktoś musiał wykręcić ci niezły numer, co?

Od odpowiedzi uratował ją sygnał radiotelefonu. Kiedy podniosła słuchawkę, usłyszała w niej bardzo zdenerwowany głos.

- Mam wiadomość dla Elijaha. Proszę mu powiedzieć, że Peg chce go widzieć możliwie jak najszybciej.

Bronté westchnęła z rezygnacją i odłożyła słuchawkę.

- Niech zgadnę - zaczęła, odwracając się do Elijaha. - Peg to kolejna z twoich byłych pańienek.

Eli odchrząknął.

- Tak naprawdę to jest dziewczyna uzależniona od heroiny. Zajmuje się... hm, załatwianiem klientów. Mężczyzn, kobiet... to nie ma dla niej znaczenia, dopóki klient zapłaci wystarczająco dużo, żeby mogła żyć w stylu, do którego jest przyzwyczajona.

Bronté zatrzepotała powiekami.

- A jak ty ją poznałeś? - spytała bez zastanowienia, a potem poczerwieniała, zdając sobie sprawę, jak to mogło zabrzmieć. - Przepraszam, zapomnij o moim pytaniu. W końcu to nie moja sprawa.

- Masz rację - przyznał - ale Peg... - Przygryzł wargę, a po chwili najwyraźniej podjął decyzję i powiedział: - Dwa lata temu złapała zapalenie płuc. Razem z moim partnerem, Frankiem, zauważyliśmy, że na ulicy leży jakaś dziewczyna, więc podnieśliśmy ją i zawieźliśmy do szpitala. Od tamtej pory... - Wzruszył ramionami. - Chyba uważa, że jest mi coś winna, bo jeśli jacyś młodzi ludzie próbują pójść jej śladem, ona natychmiast mnie zawiadamia. Niekiedy jestem w stanie pomóc i zawrócić ich ze złej drogi, zanim stanie się za późno.

- Czy chcesz teraz pojechać i zobaczyć się z nią? - spytała niepewnym głosem.

- To nie jest oficjalne zgłoszenie, Bronté - odrzekł. - Nie wolno nam jeździć na prywatne wizyty.

- Ja tego nie słyszałam. Gdzie ona mieszka?

- Mówisz poważnie? - spytał, a ona spojrzała na niego ze zniecierpliwieniem.

- Podaj mi adres, Eli.

- Ona... - Potarł się po podbródku z zakłopotaniem. - Na dobrą sprawę, Peg nigdzie nie mieszka. Ona i jej kumple większość nocy spędzają koło kościoła Franciszkanów.

Kościół Franciszkanów, powtórzyła w duchu. To nie jest najprzyjemniejsze miejsce w ciągu dnia, a w przeraźliwie zimne listopadowe noce musi być okropnie przygnębiające.

Nie zmieniła zdania, gdy dotarli na miejsce i zobaczyła czarne, zamknięte drzwi kościoła.

- Gdzie ona jest? - spytała, kiedy wysiedli z ambulansu.

- Tam.

- Tam? - powtórzyła. - Chcesz powiedzieć, że śpi między nagrobkami?

- Tak. - Eli kiwnął głową, a potem uśmiechnął się i spytał: - Mam nadzieję, że nie boisz się duchów, co?

Tylko własnego, pomyślała, ale nie powiedziała tego głośno.

- Zawsze lubiłam posąg Bobby'ego - oznajmiła, wskazując naturalnej wielkości podobiznę małego psa stojącego na cokole przed kościołem. - Rodzice zwykle przyprawiali tutaj mojego brata, siostrę i mnie, kiedy byliśmy dziećmi, i opowiadali, że przez czternaście lat, aż do śmierci, Bobby wracał każdej nocy, żeby spać na grobie swojego właściciela.

- Owszem, łatwiej wznieść posąg człowiekowi lub psu, niż próbować pomóc żywym ludziom.

Bronté zerknęła na niego z zaciekawieniem, ale on przeczesywał wzrokiem cmentarz, a potem kiwnął głową.

- Jest tam - wyszeptał.

Spoglądając we wskazanym przez niego kierunku, Bronté dostrzegła szczupłą postać przemykającą między płytami nagrobkowymi.

- Jak tam się dostaniemy? - spytała. - Czy będziemy musieli wspinać się na ogrodzenie, czy...?

- Znam inną drogę. Musi być dobrze poniżej zera - stwierdził, kiedy ruszyli.

Bronté kiwnęła głową.

- Ile... - Przełknęła ślinę. - Ilu ich tutaj sypia?

- To zależy. Czasami dziesięć osób, czasami dwadzieścia.

- Jak oni to wytrzymują? Jak mogą przetrwać noce takie jak ta? Pomyślałam... - Urwała, bo coś ciepłego, wilgotnego i lepkiego przesączyło się przez jej lewy but. - Och, fuj! - krzyknęła. - W co ja wdepnęłam?

- Czy naprawdę chcesz, żebym ci powiedział? - spytał, a ona pośpiesznie potrząsnęła głową.

Nie chciała, zwłaszcza że podejrzewała, co to może być.

- Skorzystaj z mojej rady...

- I kup buty w sklepie Harper & Stolins przy Cock-burn Street - dokończyła. - Już mi to mówiłeś.

- Owszem, ale tym razem mnie posłuchaj. Nie nosimy przydziałowych nie dlatego, że jesteśmy wybredni, ale dlatego, że są tandetne, więc zafunduj sobie parę porządnych butów.

Tak zrobię, pomyślała, poruszając wilgotnymi palcami u nogi. Pójdę do sklepu, kiedy tylko skończy się moja zmiana, ale najpierw muszę wziąć bardzo gorący prysznic.

- Okej, zaczekaj tutaj - polecił jej Eli. - Peg i jej kumple... mnie znają, a ty jesteś dla nich obca, więc sama rozumiesz, że lepiej będzie, jeśli wyjaśnię, z kim przyjechałem.

Odszedł, zanim zdążyła mu powiedzieć, że nie chce zostać sama w tym miejscu. Nagle dostrzegła sylwetki jakichś ludzi, którzy wychodzili zza nagrobków, zataczając się i kaszląc.

Z niepokojem rozejrzała się po rozświetlonym księżycową poświatą cmentarzu w poszukiwaniu Elijaha, ale nigdzie go nie dostrzegła. Było piekielnie zimno i bardzo ciemno, mimo że świecił księżyc. Ta ciemność przyprawiała ją o gęsią skórę. Nagle poczuła na ramieniu dotyk czyjejś dłoni, co śmiertelnie ją przeraziło.

- Nie chciałem cię przestraszyć - mruknął Eli, słysząc, jak Bronté klnie pod nosem.

- Ale następnym razem uprzedź mnie, dobrze? - poprosiła, starając się uspokoić. - Jak wygląda sytuacja?

- Zgodnie z tym, co mówiła Peg, tym nowym bezdomnym jest młody chłopak. Opuścił rodzinę przed rokiem. Nie chciał powiedzieć dlaczego, ale Peg uważa, że zaszło tam coś złego. Ukradzono mu niewielkie oszczędności, a bez pieniędzy nie mógł nigdzie zamieszkać. W dodatku bez adresu domowego nie mógł dostać zasiłku, więc od tamtej pory śpi pod gołym niebem.

- Co Peg chce, żebyśmy zrobili?

- W zasadzie prosi, żeby go stąd zabrać. Podejrzewa, że chłopiec jest przeziębiony. Jeśli okaże się, że ma zapalenie płuc albo ostrą infekcję dróg oddechowych, to zawieziemy go do szpitala Pentland, dzięki czemu przez jakiś czas będzie miał schronienie, ale jeśli to jest zwykłe przeziębienie... - Westchnął. - Peg ma go spytać, czy pozwoli mi się zbadać.

W tym momencie zauważyli, że ktoś macha do nich ręką, więc pośpiesznie ruszyli między grobowcami.

Bronté szła tak blisko Elijaha, że omal na niego nie wpadła, kiedy się zatrzymał.

Była zaskoczona, widząc młodego chłopca w wieku szkolnym, który siedział przed nimi na ziemi. Miał na sobie zniszczone adidas, wytarte dżinsy i poszarpaną kurtkę. Zaczęła się zastanawiać, jak przeżył ten rok, przez cały czas śpiąc pod gołym niebem.

- Jak masz na imię, chłopcze? - spytał Eli, a potem przykucnął obok niego, nie zważając na porozrzucone wokół rozbite szkło i puste strzykawki.

Chłopiec z wysiłkiem uniósł głowę. Był blady i miał podkrążone oczy, ale ich wygląd nie sugerował, że brał narkotyki.

- Ja... John - odparł. - John Smith.

Akurat, pomyślała Bronté, a ja jestem Mary, królowa szkocka.

- Podobno zgodziłeś się, żebym cię zbadał - ciągnął Eli, wyjmując stetoskop z torby lekarskiej.

W odpowiedzi chłopiec tylko wzruszył ramionami.

- Ile masz lat, John? - spytała Bronté, a chłopiec odwrócił głowę.

- Osiemnaście - mruknął. - Mam osiemnaście lat.

- Chyba raczej czternaście - powiedziała, nie mogąc się powstrzymać, a chłopak spojrzał na nią ze złością.

- Nie prosiłem, żebyście tu przyjeżdżali - warknął. - Jesteście tutaj z własnej woli, więc nie życzę sobie, żebyście mnie maglowali.

- W porządku. Nie będziemy więcej cię maglować - obiecał, a potem osłuchał jego zapadniętą klatkę piersiową i zmierzył mu tętno.

Bronté i Peg w milczeniu stały obok nich.

- No i co? - spytała, kiedy Eli skończył go badać.

- Jest przeziębiony. To nic poważnego - odparł. Bronté usłyszała w jego głosie nutkę zawodu. Szybko przykucnęła obok nich.

- John, posłuchaj mnie... - zaczęła. - Dlaczego nie wrócisz do domu? Kupię ci bilet kolejowy...

- Nie! - sprzeciwił się ostro chłopiec. - Nie wrócę do domu!

- Ale jak ty dajesz sobie radę? Jak zdobywasz jedzenie? - spytała. - Przecież nie masz pieniędzy, żeby sobie coś kupić.

- Ludzie... kiedy biorą jedzenie na wynos... nie zawsze zjadają je do końca - odrzekł John. - Wyrzucają resztki, a ja je zbieram. Tylko...

- Tylko co? - spytała, a chłopiec uniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

- Przez cały czas jestem przerażony. Boję się, że ktoś przyjdzie i mnie podpali, kiedy będę spał. Jeden ze starszych bezdomnych powiedział mi, że tak się stało z jego kumplem, więc od tamtego czasu nie śpię. Nie przestaję chodzić, zaczynam być bardzo zmęczony i mam wszystkiego dosyć...

- Posłuchaj mnie, John - zaczął Eli. - Powinieneś spać, a najbezpieczniejszym miejscem są sklepy z płaskimi dachami. Nikt cię tam nie zauważy. Poza tym one zwykle mają boczne ściany, więc trudno jest z nich spaść. Dopóki nie jesteś naćpany czy pijany, nic złego nie może cię spotkać.

Chłopiec kiwnął głową.

- Płaskie dachy. Dziękuję.

Eli powoli się wyprostował i szybkim krokiem ruszył w stronę ambulansu, a Bronté pospieszyła za nim.

- Eli... Eli, zaczekaj!

Przystanął, a kiedy odwrócił się do niej, dostrzegła malującą się na jego twarzy złość.

- Ile twoim zdaniem Peg ma lat? - spytał. Bronté zmarszczyła brwi.

- Pięćdziesiąt pięć... sześćdziesiąt.

- Ma trzydzieści dwa lata.

Bronté obejrzała się i zobaczyła, że Peg wciąż stoi obok Johna. Mimo ciemności dostrzegła, że jest bez zębów, że ma włosy jak strąki i rozszerzone źrenice świadczące o rozpaczliwej potrzebie zażycia kolejnej działki.

- John, czy jak mu na imię, będzie tak wyglądał za rok, jeśli go z tego nie wyciągniemy - oświadczył Eli. - Dla wielu osób... - Machnął ręką w stronę kobiet i mężczyzn zgromadzonych na cmentarzu. - Dla nich jest już za późno. Ale w sprawie Johna można jeszcze mieć nadzieję, więc jeśli moglibyśmy go uratować...

- Mam przy sobie trochę pieniędzy - zaczęła Bronté, grzebiąc w kieszeni.
- Niezbyt dużo, około dwudziestu funtów...

- Dzięki nim mógłby trafić do schroniska dla bezdomnych, gdzie dawaliby mu jedzenie przez trzy, może cztery dni. Ale co potem? - Urwał i milczał przez chwilę. - On potrzebuje długofalowej pomocy. Powinien zostać przez kilka dni w szpitalu, żeby pracownicy opieki społecznej mogli ocenić jego stan i coś zaplanować. - Spojrzał jej w oczy. - Czy jesteś skłonna jeszcze raz złamać obowiązujące nas przepisy?

- Natychmiast - odparła. - Ale jeśli on jest tylko przeziębiony, to ośmieszmy się, przywożąc go do Pentland.

- Niekoniecznie. Trzeba znać odpowiednią osobę...

- A ty znasz? - spytała, a kiedy Eli uśmiechnął się szeroko, potrząsnęła głową. - Głupie pytanie. Oczywiście, że znasz. Jak się nazywa?

- Doktor Helen Carter. Pracuje we wtorki i czwartki na ratownictwie w Pentland. Ona na pewno nam pomoże.

Tak też się stało. W ciągu kilku minut od ich przybycia umieściła Johna na oddziale i zawiadomiła o-piekę społeczną.

- Niczego nie gwarantuję, Eli - oznajmiła - ale przy odrobinie szczęścia może uda nam się sprowadzić tego chłopca na właściwą drogę.

- Helen, uwielbiam cię... - zawołał Eli, promieniejąc radością, a ona potrząsnęła głową i wybuchnęła śmiechem.

- Znikaj, Eli. Jestem na tyle stara, że mogłabym być twoją matką.

Pożegnali się i wyszli ze szpitala.

- Eli...

- Jeszcze ci nie podziękowałem, a powinienem był to zrobić - przerwał jej, kiedy wsiedli do ambulansu.

- Za co? - spytała, wrzucając bieg.

- Za złamanie przepisów.

- Nie mogłam postąpić inaczej - odparła, ostrożnie wjeżdżając na główną drogę.

- Owszem, mogłaś - rzekł łagodnie. - Wielu ludzi... kiedy widzą rozbitków życiowych zebrzących na ulicy, śpiących w tekturowych pudłach... uważa, że ci nieudacznicy, ofiary losu nie są ich zmartwieniem.

- Jestem przekonana, że tak niewiele trzeba, żebyśmy znaleźli się w podobnej sytuacji. Wystarczy, że stracisz pracę i nie będziesz w stanie płacić za mieszkanie. A kiedy nie będziesz miał gdzie mieszkać...

- Znajdziesz się w ślepym zaułku. - Eli westchnął.

- Bardzo często bez powrotu, bez wyjścia.

Bronté zerknęła na niego i wzięła głęboki oddech.

- To, co mówiłeś temu chłopcu o bezpiecznych miejscach, w których może spędzić noc - zaczęła.

- Miałam wrażenie... nie żeby to była moja sprawa, ale to zabrzmiało tak, jakbyś osobiście tego doświadczył... Jakbyś ty też kiedyś sypiał pod gołym niebem...

Eli zagryzł zęby.

- Masz rację. To nie twoja sprawa.

- Okej. - Kiwnęła głową, wzruszając ramionami.

- Wybacz mi. - Eli przez chwilę siedział w milczeniu, a potem kąciki jego ust lekko się uniosły.

- Jesteś bardzo niebezpieczną kobietą, Bronté.

- Ja... niebezpieczną kobietą? - powtórzyła z zakłopotaniem. - Dlaczego tak uważasz?

- Każdy inny dociekałby, starałby się wyciągnąć ze mnie odpowiedź, a ja w końcu urwałbym mu głowę. A ty tylko wzruszyłaś ramionami i powiedziałaś okej, co prawie sprowokowało mnie do wyznania ci prawdy.

- Która byłaby nieprzyjemna?

- Nawet bardzo.

Chciała spytać go, dlaczego. Ale jakie ma prawo pytać go o cokolwiek? Nie byli przyjaciółmi, ledwie go znała, a poza tym miała poważne wątpliwości, czy udzieliłby jej odpowiedzi. Prowadziła więc ambulans w milczeniu.

Kiedy minęli Bibliotekę Narodową, przejechali przez South Bridge i skręcili w prawo w ulicę Cowgate, zauważyła grupę wygłupiających się wyrostków. Nagle cały jej świat się zawalił i w panice nadepnęła na pedał hamulca.

- Trzymaj kierownicę! Nie puszczaj jej! - zawołał Eli.

Wykonała jego polecenie. Eli włączył wycieraczki, a Bronté zatrzymała pojazd i oparła głowę na kierownicy.

- Co to, u diabła, było? - wyszeptała, czując, że jej serce bije jak szalone.

- Butelka piwa. Jeden z dzieciaków, których mijaliśmy musiał rzucić nią w szybę.

- Ale to jest... szaleństwo! - zawołała. - Czy oni nie zdają sobie sprawy, czy nie myślą? Przecież mogłam ich rozjechać!

- Wątpię, żeby w ogóle przyszło im to do głowy - odrzekł Eli, wyjmując gąbkę ze schowka.

Jak on może być tak obojętny? - spytała się w duchu. Jak może tak po prostu siedzieć, jakby zdarzało się to każdej nocy? Choć...

- Czy... często mają miejsce takie incydenty?

- To zależy od tego, co masz na myśli mówiąc „często” - odparł. - Jeśli w telewizji nie ma nic ciekawego, bandy wyrostków wychodzą na ulice i śmiertelnie się nudzą. - Zmarszczył czoło. - Choć to dosyć niezwykle, że rzucili w nas pełną butelką piwa. Normalnie są one puste.

- Czy dzięki tej informacji mam poczuć się lepiej? - zapytała zdenerwowana.

- Przynajmniej nie przebiegli przed maską samochodu - powiedział. - Kiedy przytrafiło mi się coś podobnego po raz pierwszy, byłem piekielnie przerażony. Mówią, że można zyskać prestiż kumpli, jeśli przebiegnie się przez jezdnię tuż przed ambulansem jadącym na sygnale.

- To niezwykle fascynujące - mruknęła, bezskutecznie próbując się uśmiechnąć.

Nagle Eli zaklął, a jej serce zamarło.

- Co jest? Co się dzieje? - zawołała przerażonym głosem.

- Oni nadal tu są... te wyrostki - wyjaśnił pośpym tonem. - Chyba powiem im kilka słów do słuchu.

Bronté dostrzegła w lusterku wstecznym młodych mężczyzn, którzy śmiali się i szydzili, a w dłoniach trzymali butelki. Kiedy Eli chciał wysiąść z karetki, chwyciła go za ramię.

- Nie!

- Bronté, chcę z nimi porozmawiać - powiedział, próbując uwolnić się z jej uścisku.

- Nie pójdziesz do nich! - krzyknęła. - Zostaniesz tutaj! Słyszysz, co mówię?

- Bronté, uspokój się. Posłuchaj, nie wysiądę, jeśli tego nie chcesz - powiedział z niepokojem.

- Obiecujesz?

- Tak czy owak, już sobie poszli - oznajmił. - A ja chciałbym, żebyś wzięła kilka głębokich oddechów.

Usłyszała w jego głosie taki sam ton, jakim przemawiała do rozhisteryzowanych dzieci na oddziale ratownictwa, i to ją okropnie zawstydziło. Zdecydowała, że musi wziąć się w garść, bo inaczej wpadnie w prawdziwą panikę. Na domiar złego w obecności Elijaha.

- Nic mi nie jest. Czuję się już dobrze - oznajmiła, usiłując zachować spokój, a on potrząsnął głową.

- Kawa. Tak, ty napijesz się kawy, a ja usiądę za kółkiem.

Chciała zaprotestować, powiedzieć mu, że może sama prowadzić, ale wystarczył jeden rzut oka na jej drżące ręce, by zorientował się, że ona kłamie.

- Kiedy wysiądę, przesuń się na fotel dla pasażera.

- Ale...

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo Eli już wysiadł, więc wykonała jego polecenie.

Gdy Eli zatrzymał karetkę przed barem Tony'ego, Bronté zmusiła się do uśmiechu.

- Przepraszam cię - zaczęła, modląc się, by jej głos tak bardzo nie drżał. - Po prostu... ta butelka... nie spodziewałam się tego, rozumiesz.

- Czy chcesz taką jak zwykle?

Kiwnęła głową, a kiedy Eli wszedł do baru, mocno zamknęła oczy.

Taką jak zwykle, powtórzyła w myślach. Zaledwie po dwóch dniach nazywał ją kawę „taką jak zwykle”, jakby na stałe należała do zespołu, a przecież...

- Przyniosłem ci też pączka - oznajmił Eli, przerywając jej rozmyślenia. - Przyszło mi do głowy, że pewnie potrzebujesz trochę węgla i cukru.

- Dziękuję - powiedziała. - Dziś w nocy nie będziesz jadł hamburgera? - spytała, widząc w jego ręce czekoladowe ciasteczko.

- Nie chciałem narażać cię na mdłości - odrzekł, a ona ścisnęła mocno swój kubek z kawą.

- Daj spokój, dobrze? Nic mi nie jest - powiedziała z naciskiem.

Eli nie odzywał się przez dobre pięć minut, ale Bronté zdawała sobie sprawę, że obserwuje ją kątem oka. Kiedy skończyła jeść pączka i wypić do połowy kawę, on odwrócił się do niej i spojrzał jej w oczy.

- No dobrze, czy powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi?

Udawanie, że nie rozumie, o co on ją pyta, nie było dobrym rozwiązaniem, ale nie chciała też mu wyznać prawdy.

- Przyznaję, że trochę się pogubiłam, kiedy butelka uderzyła w szybę, ale każdy zareagowałby tak samo. Jeśli robi ci się czarno przed oczami, nic nie widzisz, a w dodatku prowadzisz, to...

- Całkiem nieźle, Bronté, ale ja tego nie kupuję. Zauważyłem, że źle wyglądasz u franciszkanów, ale przypisałem to chłodnej nocy. Wiem, że okropnie się przeraziłaś, kiedy butelka uderzyła w szybę, ale chciałbym wiedzieć, dlaczego tak wybuchnęłaś, kiedy chciałem wysiąść z samochodu i stanąć twarzą w twarz z tymi prymitywnymi wyrostkami.

- Bo było ich tylu... Bałam się, że mogą cię skrzywdzić.

Eli westchnął i odgarnął włosy z czoła.

- Bronté, nie chcę być wścibski, ale powinnaś spojrzeć na to z mojego punktu widzenia. Jeździsz ze mną, więc czy nie uważasz, że mam prawo wiedzieć, że niektóre sytuacje mogą wywołać w tobie panikę?

Miał rację, ale ona nie chciała o tym rozmawiać, bo to przywołałoby ponure wspomnienia.

- Eli...

- To ma coś wspólnego z twoim odejściem z ratownictwa, tak?

Bronté wbiła wzrok w szybę. Choć nie chciała o tym mówić, wiedziała, że musi się na to zdobyć.

- Miałam dyżur... w sobotnią noc - zaczęła drżącym głosem. - Jak zwykle było dużo ludzi. Ludzi, którzy za dużo wypili, narkomanów, którzy zasłabli na ulicy, i zwykłych przechodniów, którzy doznali obrażeń.

- Inaczej mówiąc, typowa sobotnia noc.

- Można to tak ująć - mruknęła. - Nagle pojawili się... oni. Wszyscy byli pijani, a jeden... miał paskudnie rozciętą rękę. Kiedy mu ją opatrywałam, krzyczał, że jestem suką, że celowo sprawiam mu ból...

- I?

- Jego kumple... zaczęli tłoczyć się w gabinecie. Popychali mnie, potraćali, szarpali moje ubranie, a potem jeden... - Mocno zacisnęła palce na swoim kubku. - Jeden z nich zaczął grozić mi nożem.

- To okropne - mruknął. - Czy cię zranił?

- Tak, przebił mi płuco. Byłam na zwolnieniu przez cztery miesiące, a kiedy w końcu zaczęłam chodzić do pracy... kiedy zjawiała się pierwsza banda pijanych, po prostu zamarłam z przerażenia, nie byłam w stanie do nich podejść... Na tym zakończyła się moja kariera pielęgniarki, ale mając do zapłacenia czynsz i inne rachunki, musiałam znaleźć jakąś pracę, więc kiedy zobaczyłam waszą ofertę, zgłosiłam się i zostałam zatrudniona.

Eli odchrząknął.

- Bronté, chyba zdajesz sobie sprawę, że kiedy jeździsz ze mną, jesteś narażona na kontakt z pijakami...

- Ale nie muszę udzielać im pomocy. Nie muszę ich dotykać. Nie zaprzeczam, że bliskość kogoś pijanego mnie niepokoi, ale dopóki nie jest to cała banda, dam sobie radę. - Spojrzała mu w oczy. - Co zamierzasz zrobić?

- Kiedy dopijesz kawę, będziemy krążyć po mieście, czekając na wezwanie.

- Myślałam, że...

- Posłuchaj rady człowieka doświadczonego. Nie myśl. Myślenie do niczego nie prowadzi. A teraz dopij kawę.

Bronté wyjęła z kieszeni chusteczkę i porządnie wytarła nos, a potem uśmiechnęła się do Elijaha.

Ten uśmiech zupełnie zmienił jej twarz. Teraz wydała mu się łagodna, pogodna, niemal słodka. Zauważył też w jej brązowych włosach złote pasemka, a oczy... Nagle zdał sobie sprawę, że ma ochotę wziąć ją w ramiona.

Poczuł, że stoi nad przepaścią, do której bardzo łatwo jest wpaść, i postanowił trzymać się od tej kobiety na dystans.

TLR

ROZDZIAŁ TRZECI

Czwartek, 0 :06

- Na najbliższym skrzyżowaniu skreć ostro w prawo. Tędy najszybciej można dojechać na Chambers Street, ale uważaj na rogu. Jezdnia jest w porządku, ale chodniki i rogi ulic są dzisiaj dość oblodzone - powiedział Eli.

Bronté uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością, ale on na nią nie patrzył. Ilekroć zerknęła tego wieczoru w jego stronę, miał wzrok wbity w szybę, ale kiedy tylko spojrzała przed siebie, czuła, że on się jej przygląda.

Pewnie uważa mnie za wariatkę po tym, co wydarzyło się wczoraj, pomyślała. Ale to jest niesprawiedliwe. Przecież dzisiaj byliśmy u kobiety, która dostała ciężkiego ataku astmy, u dziecka, które się poparzyło i u starszego mężczyzny, który miał poważną infekcję dróg oddechowych, a ja przez cały czas zachowywałam się profesjonalnie. Najwyraźniej Eli uznał, że sprawiam mu same kłopoty.

- Nie widzę, żeby ktoś leżał na ulicy - stwierdziła, wpatrując się w jezdnię przed ambulansem. - Ale dyspozytorka wyraźnie powiedziała, że to Chambers Street. Czy mogła się pomylić?

- Niewykluczone.

- O, tam! - zawołała. - Czy to może być on? Nie leży na ulicy, ale dziwnie idzie, jakby był ranny...

- Albo pijany - przerwał jej Eli. - Jeśli ktoś ma atak serca lub napad padaczkowy, to przechodnie na ogół zostają z nim i czekają, aż przyjedzie pomoc, ale z pijanym... Nikt nie chce się do niego zbliżyć.

- Pijany czy nie, chyba zranił się w nogę - odparła Bronté, zatrzymując karetkę przy krawężniku. - Widzisz, jak nią powłóczy?

Eli nie odpowiedział, tylko wziął torbę lekarską i otworzył drzwi.

- Nie musisz iść ze mną - powiedział. - Dam sobie radę.

- Idę - odparła zdecydowanym tonem, a on mruknął coś pod nosem.

Dlaczego nie powie mi wprost, że nie chce ze mną pracować? - spytała się w duchu. Przecież dobrze wiem, co on o mnie myśli. Więc czy nie byłoby lepiej, gdyby wyrzucił to z siebie, zamiast traktować mnie jak tykającą bombę zegarową?

- Eli...

- On zniknął - zaczął Eli i urwał, kiedy na pustej ulicy dał się słyszeć głuchoy odgłos.

Mężczyzna leżał teraz na plecach, a upadając, przewrócił pojemnik na śmieci, którego zawartość wysypała się na oblodzony chodnik.

- Zamiatacze ulic będą zachwyceni - zażartowała, ale Eli nie powitał jej słów uśmiechem.

W gruncie rzeczy równie dobrze mogłabym mówić do pojemnika na śmieci, pomyślała z rozdrażnieniem, kiedy Eli odszedł, a ona przyspieszyła kroku, by go dogonić.

- Na pewno jest pijany - stwierdził Eli, gdy podeszli do mężczyzny. - Ale co do nogi, to miałaś rację. Podejrzewam, że upadł na potłuczone szkło - dodał, wyciągając z torby lekarskiej nożyczki, tampony i środki odkażające.

Bronté dostrzegła przez rozdartą nogawkę spodni mężczyzny sączącą się krew oraz niewielkie kawałki szkła.

- Moim zdaniem trzeba będzie założyć mu szwy - oznajmiła.

Eli kiwnął głową.

- Obawiam się, że trzeba też będzie zrobić mu zastrzyk przeciwwężcowy, więc lepiej od razu zawieźmy go na ratownictwo. Tylko najpierw przemyję mu tę ranę.

Nagle mężczyzna przewrócił się na bok i zwymiotował na przód swojej kurtki.

- Bronté, naprawdę nie musisz tu być - powtórzył Eli. - Wróc do samochodu.

- Zostanę z tobą - odparła.

- Nie ma takiej potrzeby - rzekł z naciskiem Eli, wrzucając do torby zużyte tampony. - Sam zaciągnę go do karetki.

- Och, naprawdę? - zapytała, nie mogąc powściągnąć sarkazmu. - Więc zamierzasz sam dźwigać ponadstukilogramowego mężczyznę po śliskim chodniku? Nie sądzę, żeby ci się to udało.

Szybko się pochyliła i wsunęła ręce pod ramiona rannego, a potem odwróciła głowę, nie chcąc wdychać bijącego od niego odoru alkoholu.

To tylko jeden pijany, tłumaczyła sobie w duchu, czując przyspieszone bicie serca. Praktycznie jest w stanie śpiączki, więc na pewno dam sobie z nim radę. Choćby przez szacunek dla samej siebie.

- Bronté, nie musisz tego robić - powiedział ponownie, a ona cicho zaklęła.

- Zrobiłabym to znacznie szybciej, gdybyś mi pomógł - warknęła. - Chyba że chcesz tu stać i się gapić...

Zauważyła, że Eli zacisnął zęby, ale za nic w świecie nie zamierzała go przeproszać.

- Jedź szybko - polecił jej, kiedy położyli już mężczyznę z tyłu ambulansu. - Jeśli on znów zwymiotuje, będziemy mieli dwugodzinny przymusowy przestój na dezynfekcję.

Bronté kiwnęła głową.

Po dziesięciu minutach byli już na oddziale ratownictwa w szpitalu Pentland. Przekazali mężczyznę w ręce wykwalifikowanej pielęgniarki, która bynajmniej nie wyglądała na zadowoloną z nowego pacjenta.

- Nie mogę uwierzyć, że Boże Narodzenie jest już tak blisko - zauważyła Bronté, kiedy wsiedli do karetki. Zgodnie z tym, co piszą w gazetach, zostało nam dwadzieścia osiem dni na zrobienie zakupów.

- Tak.

- Czy spędzisz je z rodziną, czy sam?

- Sam.

Próbuję z nim rozmawiać, ale nic z tego nie wychodzi, pomyślała, zmieniając ze zgrzytem biegi.

- Jest za dwadzieścia trzecia - oznajmiła. - Co powiesz na to, żebyśmy zrobili sobie przerwę i pojechali do Tony'ego?

Eli odchrząknął.

- Prawdę mówiąc, zastanawiałem się, czy nie powinniśmy wrócić do ośrodka i tam wypić kawę. Chodzi mi o to, że nie poznałaś żadnego z ratowników - dodał, unikając jej wzroku. - Pomyślałem więc, że może tej nocy darujemy sobie bar.

Może i dałabym się na to nabrać, gdyby wcześniej nie powiedział mi, że wszystkie załogi ambulansów jeżdżą na kawę do Tony'ego. Po prostu nie

chce być ze mną sam na sam, pomyślała posepnie. Ale co za dużo, to niezdrowo! Powiem mu...

Skręciła w College Street, zatrzymała pojazd i wyłączyła silnik.

- Co się stało? - zapytał Eli.

- Musimy porozmawiać o wczoraj. Dostrzegła w jego oczach wyraz nieufności.

- Czy jest o czym?

- Eli, to się nie uda, jeśli będziesz na mnie patrzył tak, jakbym zaraz miała zedrzeć z siebie ubranie, włożyć majtki na głowę i pognać ulicą jak jakaś niepoczytalna osoba. A jeśli ośmielisz się powiedzieć: „Chciałbym to zobaczyć”, to dam słowo, że cię walnę...

- Dobrze, już dobrze, nie powiem tego - odrzekł. - Mógłbym tak pomyśleć...

- Eli!

- Okej, okej! Więc uważasz, że się o ciebie martwię?

- Och, daj spokój. Teraz po raz pierwszy spojrzaleś mi w oczy, a przez cały czas zachowujesz się tak, jakbym była beczką prochu, która za chwilę może wybuchnąć.

- Masz rację. Wobec tego przestanę się martwić. Ale nie życzę sobie, żebyś ciągle ciosała mi kołki na głowie.

- A od kiedy to robię? - zapytała, a on szeroko się uśmiechnął.

- Praktycznie rzecz biorąc, odkąd się poznaliśmy.

- No cóż, widocznie na to zasłużyłeś. Te twoje pochlebstwa... Może one działają na inne kobiety, ale na pewno nie na mnie.

- Ciekaw jestem, dlaczego?

- Mówiłam ci już, że nie jesteś w moim typie - odparła, siłąc się na non-szalancki ton. - To prawdopodobnie wyjaśnia, dlaczego nie działa na mnie twoja kokieteria. Poza tym... - dodała, czując, że musi uwiarygodnić swoje kłamstwo - zawsze wołałam blondynów od brunetów.

Eli uniósł brwi z zainteresowaniem.

- Więc ten facet, który wykręcił ci paskudny numer, przez co postanowiłaś nie umawiać się z mężczyznami, był zapewne blondynem, prawda?

Do diabła! - zakląła w duchu. To mnie oduczy koloryzowania.

- Przestań mnie wypytywać - mruknęła z irytacją. - Powiedziałam ci już, że to nie twoja sprawa.

- Ja ci wyznałem powody, dla których postanowiłem przez trzy miesiące nie umawiać się z kobietami. Mam więc chyba prawo oczekiwać od ciebie podobnej szczerości.

- Niczego mi nie wyznałeś - odparła z naciskiem.

- Sama do tego doszłam, więc to się nie liczy, a poza tym czy nikt ci nigdy nie powiedział, że życie...

- Nie jest sprawiedliwe? - dokończył z uśmiechem. - Owszem, mówiłaś mi o tym, ale to nie ma nic do rzeczy, więc oczekuję na twoją odpowiedź.

Nagle zdała sobie sprawę, że uśmiech, który dostrzegła na jego twarzy, mówi: „Powiedz mi, bo chcę wiedzieć o tobie wszystko”. Ale nawet jeśli on udaje zainteresowanie, a wiedziała, że tak właśnie jest, to połączenie jego ciemnoniebieskich oczu i tego uśmiechu działa na nią jak dynamit...

- Milczenie nie jest rozwiązaniem, Bronté - ciągnął, przerywając tok jej myśli. - Oczekuję odpowiedzi.

Do diabła, nawet nie pamiętam, jakie było pytanie, pomyślała z przerażeniem.

- Eli...

- A38, czy możecie określić wasze położenie.

- Jak zwykle - mruknął Eli, kiedy Bronté podniosła słuchawkę. - Właśnie wtedy, gdy mogłem w końcu uzyskać odpowiedź. Ale to nie oznacza wcale, że dam ci święty spokój - dodał z szerokim uśmiechem. - Ja nie poddam się łatwo.

Oczywiście, że nie, pomyślała Bronté, ale teraz na szczęście jestem zajęta czymś innym.

- Tu A38 - powiedziała do słuchawki. - Jesteśmy na College Street.

- Wobec tego mamy dla was zgłoszenie. Holyrood Gate 49. Roland Finlay. Pięćdziesięcioletni mężczyzna spadł z łóżka. Możliwe zatrzymanie akcji serca.

- To znaczy, że albo nie żyje, albo miał zawał - powiedziała Bronté, uruchamiając silnik.

- Włącz syreny i ruszaj!

Bronté szybko wyjechała tyłem z College Street i ruszyła na wschód.

- Podoba ci się to, prawda? - spytał Eli po dłuższej chwili, słysząc jej triumfalny okrzyk, kiedy wcisnęła się między dwa samochody, niemal je potracając, a potem przemknęła przez skrzyżowanie na czerwonym świetle, nie naciskając nawet na pedał hamulca.

- Tak - odparła z radosnym uśmiechem.

- Może powinnaś przekwalifikować się na ratownika.

- Akurat. Wątpię, żeby było dużo wezwań dla ratownika, który umie udzielać pomocy tylko dzieciom i starszkom. Jesteśmy na Holyrood Gate. Czy wiesz, gdzie jest 49?

- Widzę numer 19 - odrzekł Eli, wyglądając przez okno. - Jest 24 i 26. Do diabła, czy ktoś rozdzielał te numery na jakimś narkotycznym haju?

Bronté dojechała do końca ulicy, a Eli po drodze starał się odczytywać numery mijanych domów. Kiedy zawróciła, ze złością uderzył pięścią w deskę rozdzielczą.

- Dlaczego ludzie nie przyczepiają na domach większych tablic z numerami? - wybuchnął.

- Numer 16, numer 11 - mruknęła. - Numer 9... Czy to może być w tym budynku z numerem 45?

- Może. - Eli kiwnął głową. - Założę się, że mieszkanie numer 49 jest na drugim piętrze i nie ma tam windy. Najgorszym koszmarem dla ratownika jest...

- Teraz moim koszmarem jest znalezienie miejsca, gdzie mogłabym zaparkować. Samochody stoją jeden tuż za drugim.

- Więc zaparkuj na środku ulicy.

- Ale wtedy zatarasujemy przejazd.

- Parkuj, do licha, bo on może umrzeć!

Bronté wykonała jego polecenie. Wyszli z ambulansu, wzięli torby lekarskie, przenośny fotel i ruszyli szybkim krokiem w stronę budynku. Tak jak przewidział Eli, mieszkanie pana Finlaya mieściło się na drugim piętrze i nie było tam windy.

- Chyba będę musiała zacząć ćwiczyć - oznajmiła Bronté zadyszany głosem, wchodząc po schodach i widząc, że Eli nawet się nie zasapał.

W tym momencie otworzyły się drzwi i na progu stanęła kobieta w średnim wieku.

- Usłyszałam syrenę - powiedziała. - Chodzi o mojego męża. On nie odycha. Pomóżcie mu, proszę. Bardzo proszę.

Bronté i Eli pospiesznie weszli do sypialni pana Finlaya i ujrzeli go leżącego bezwładnie na podłodze obok łóżka.

- Nie wiem, co się stało - ciągnęła pani Finlay przerażonym głosem. - Oglądałam w telewizji nocne kino i nagle usłyszałam głuchy odgłos. Myślałam, że może on chciał pójść do toalety, sama nie wiem. Naprawdę.

Eli podłączył pana Finlaya do monitora serca. Po paru sekundach okazało się, że serce nie pompuje krwi, więc jeśli nie zacznie znów bić, pacjent umrze w ciągu kilku minut.

- Czy chcesz, żebym zaczęła uciskać klatkę piersiową, czy mam przygotować worek ambu? - spytała Bronté.

- Worek ambu - odparł.

Eli zaintubował pacjenta dotchawiczo i przez kaniulę zaaplikował mu leki do żyły. Potem Bronté pokryła płytki defibrylatora żelem przewodzącym elektryczność i podała je Elijahowi, który po kilku próbach wyczuł słabe tętno.

- Okej, jedziemy do szpitala - oznajmił Eli, a Bronté kiwnęła głową.

- Mam nadzieję, że pan Finlay wyjdzie z tego - rzekła Bronté, kiedy pielęgniarki zabrały go na oddział.

- Zrobiliśmy, co w naszej mocy - odrzekł Eli zmęczonym głosem. - Aha, to mi o czymś przypomniało. Kiedy znosiliśmy go, zauważyłem twoje buty.

- Kupiłam je w Harper & Stolins dziś po południu... -Zerknęła na zegarek. - Raczej wczoraj po południu.

- Ale to nie jest model Safari.
- Safari były zbyt ciężkie. Te są lekkie, modne...
- Ale powinny być ciężkie, żeby chronić palce.
- W porządku - przerwała mu, krzywiąc się. -Więc kupiłam złe buty, ale czy ty zawsze musisz być... tak bardzo...
- Przekonany o słuszności tego, co mówię - dokończył.
- Zadowolony z siebie. Tych słów szukałam. Dziś po południu raz jeszcze pójde do tego sklepu i kupię model Safari.
- O której?
- Pewnie pośpię do drugiej, potem wykapię się, kupię sobie coś do jedzenia... Wyjdę pewnie koło ósmej.
- Wobec tego spotkajmy się przed Harper & Stolins o ósmej. Wtedy będziesz pewna, że tym razem kupisz odpowiednie buty. A zanim zaczniesz się ze mną spierać... - dodał, widząc, że Bronté otwiera usta.
- Niech mnie diabli wezmą, jeśli do końca moich dni miałbym żyć ze świadomością, że straciłaś wszystkie palce u nóg dlatego, że cię nie przypilnowałem.
- Ale...
- No to o ósmej.

Bronté popatrzyła na niego z rezygnacją.

- Dobrze, spotkajmy się przed sklepem. Czy wreszcie jesteś zadowolony?

- Tak - odrzekł, a potem wsiedli do ambulansu.

- Teraz napijemy się kawy - oświadczyła. - Myślę, że oboje tego potrzebujemy. Chcę też zjeść największego lukrowanego pączka, jakiego można dostać u Tony'ego.

- A nie hamburgera? - spytał Eli, mrużąc oczy.

- Nie, chcę pączka.

- Wobec tego ruszaj.

Dotarli na miejsce w rekordowym czasie. Eli wysiadł z ambulansu i poszedł do baru. Po chwili wrócił.

- Jedna kawa cappuccino i jeden pączek - oznajmił, otwierając drzwi kabiny.

- Uratowałeś mi życie - powiedziała ze śmiechem, odgryzając spory kawałek pączka. - Ale dlaczego wpatrujesz się we mnie takim gniewnym wzrokiem?

- Gniewnym?

- Patrzysz na mnie tak, jakbym zrobiła coś złego.

- Dlaczego Bronté?

- Dlaczego Bronté co? - spytała, wypijając łyk kawy.

- Nie to miałem na myśli. Chodzi mi o to, dlaczego dano ci na imię Bronté.

- Och, to proste. Oboje moi rodzice wykładają dziewiętnastowieczną literaturę angielską, więc dali mi na imię Bronté. W gruncie rzeczy wyszłam z tego obronną ręką. Mój starszy brat ma na imię Byron, a młodsza siostra Rossetti. On jest dyrektorem banku inwestycyjnego, a ona adwokatem.

Eli uniósł brwi.

- A więc oboje zrobili karierę.

- Owszem, ja jestem czarną owcą w naszej rodzinie - odparła.

- Dlaczego tak uważasz? - spytał.

- No bo w porównaniu z nimi jestem nikim. Wcale się tym nie przejmuję - dodała, widząc, że Eli zamierza jej przerwać. - Nie możemy wszyscy być przesadnie ambitni. Czy ty masz rodzeństwo?

- Nie - odparł z dziwnym wyrazem twarzy. Bronté miała wrażenie, że niechęć poruszyła temat, który on uważał za zakazany.

- Dobra kawa - stwierdziła z zakłopotaniem. - Pączek też.

- Może któreś nocy namówię cię, żebyś spróbowała hamburgera Tony'ego - oznajmił, najwyraźniej zadowolony, że zmienili temat. - Ale może opowiesz mi o tym blondynie, który wykręcił ci taki numer, że definitywnie przestałaś spotykać się z mężczyznami.

Bronté wzniosła oczy do nieba.

- Czy ty nigdy nie dajesz za wygraną? - zawołała.

- Nie.

- Proszę o następne pytanie - odparła zdecydowanym tonem, nie zamierzając go informować, że w dziedzinie związków z mężczyznami jest ofiarą losu.

- Przestań się wykręcać, Bronté - nalegał. - Powiedz prawdę.

Znów dostrzegła na jego twarzy uśmiech, który mówił: „Opowiedz mi o swoich kłopotach. Możesz mi zaufać”.

- Posłuchaj, Eli, czy przestaniesz mnie dręczyć, jeśli ci to powiem? - spytała, a kiedy kiwnął głową, wzięła głęboki oddech. - To nie ma nic wspólnego z żadnym blondynem. Po prostu niewłaściwie wybieram sobie męż-

czynn, więc doszłam do wniosku, że lepiej przyznać się do porażki, niż przeżywać kolejne rozczarowania.

- Czy to znaczy, że przyciągasz do siebie mężczyzn, którzy cię krzywdzą?

- Nie, nie to chciałam powiedzieć - rzekła z rozdrażnieniem.

- Więc przyciągasz do siebie psycholi i popaprańców?

- Czy masz na myśli takich pomyleńców jak ten, który koło mnie siedzi?
- spytała, tłumiąc irytację.

- Nie, tego też nie chciałam powiedzieć. Po prostu wszyscy mężczyźni, z którymi się spotykałam... Zawsze zaczynało się dobrze, a potem... - Wzruszyła ramionami. - Chyba nie dostrzegałam sygnałów ostrzegających, że mężczyzna, z którym jestem związana, do mnie nie pasuje.

- Dlaczego?

- Sama nie wiem. Posłuchaj, zadałeś mi pytanie, a ja ci na nie odpowiedziałam. Koniec dyskusji.

- Dobrze, powiem ci, jak ja to widzę - oznajmił.

- Popelniasz dwa zasadnicze błędy. Po pierwsze, wybierasz sobie nieodpowiednich partnerów.

- Oczywiście, że tak, ale nie zakochuję się celowo w mężczyznach, którzy potem łamią mi serce. Najwyraźniej trafiam na takich...

- I to jest twój drugi błąd. Szukasz ideału, który zapewni ci dożgonne szczęście, a tacy ludzie po prostu nie istnieją.

Bronté zamrugała powiekami.

- Więc nie wierzysz w miłość?

- Oczywiście, że nie - odrzekł, wypijając duży łyk kawy. - Te wszystkie brednie pełne serc i kwiatów, te wszystkie sentymentalne ballady i filmy... to wszystko sprowadza się po prostu do seksu.

- Ale...

- Bronté, im szybciej się ockniesz i spojrzysz prawdzie w oczy, tym bardziej zmniejszysz ryzyko, że ktoś cię zrani. Zapomnij o miłości, zapomnij o dozgonnym szczęściu. Układ między mężczyzną a kobietą sprowadza się do jednego: do seksu. Jeśli jest mierny, w porę się wycofujesz. Jeśli jest okej, zostajesz w związku przez jakiś czas. Natomiast jeśli jest wyjątkowy, cieszysz się nim, a potem odchodzisz. Tak postępują dorośli ludzie.

- Nieprawda, mylisz się. I to bardzo. Miłość istnieje - powiedziała z uporem. - Owszem, łączy się z nią dużo cierpień, dużo bólu, ale szczerze wierzę, że są ludzie, którzy o siebie dbają i się kochają. Gdybym w to nie wierzyła... gdybym przyjęła tak jak ty, że każdy troszczy się tylko o siebie samego, to... jaki byłby ten świat?

Eli potrząsnął głową ze zniecierpliwieniem.

- Mylisz dwie zupełnie różne kwestie - zauważył. - Nie twierdzę, że należy przechodzić obojętnie obok kogoś, kto wpadł w tarapaty czy lekceważyć czyjeś cierpienia. Jest wiele spraw, którymi się przejmuję, na przykład niesprawiedliwość, bigoteria...

- Ale nie miłość?

- Nie - odrzekł stanowczo, a ona westchnęła.

- Czy dwie osoby mogą być bardziej niezgodne niż my? Tak krańcowo różnić się sposobem myślenia, przekonaniami?

- Bardzo w to wątpię - odrzekł.

Bronté spojrzała na resztki swojego pączka.

- Chyba nie jestem już głodna - mruknęła, wrzucając je do papierowej torebki.

- Prawdę mówiąc, ja też - powiedział Eli półgłosem, patrząc na hamburgera z wyraźną niechęcią.

- Czy wracamy do ośrodka i tam będziemy czekać na wezwanie? - zapytała.

- Dobry pomysł. Tylko najpierw pozbadź się resztek cukru z policzka. Nie z tego. Z drugiego - dodał ze zniecierpliwieniem, kiedy dotknęła lewego policzka. - Pozwól, że ci pomogę.

Zaczął delikatnie ścierać cukier puder, a Bronté miała wrażenie, że on ją głaszcze. Nagle wstrzymała oddech i zapomniała o całym świecie. Kiedy Eli przesunął powoli palcami w dół jej policzka, poczuła dreszcz rozkoszy.

- Eli...

Nie była w stanie powiedzieć nic więcej, a on w milczeniu trzymał w dłoni jej podbródek, wpatrując się w nią swoimi ciemnoniebieskimi oczami. Pochylił głowę i zbliżył usta do jej warg. Potem niespodziewanie cofnął rękę, a ona, drżąc na całym ciele, spojrzała przez okno niewidzącym wzrokiem.

- Lepiej wracajmy do ośrodka - powiedział pełnym napięcia głosem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Czwartek, 19:55

Powinnam była umówić się z nim wcześniej, pomyślała Bronté, stojąc na Cockburn Street w lodowatym wietrze, przytupując i chuchając na palce rąk, by je ogrzać. Powinnam była powiedzieć mu dziś rano pod koniec naszej zmiany, że nagle przypomniałam sobie o czymś bardzo ważnym, co muszę załatwić, i nie mogę się z nim spotkać.

Nagle wywołała z zakamarków pamięci dzisiejszy poranek i poczuła dreszcz podniecenia. Kiedy Eli dotknął jej policzka, kiedy ich spojrzenia się spotkały, a czas stanął w miejscu... Była pewna, że Eli zamierza ją pocałować i bardzo tego pragnęła. Zamknęła oczy, chcąc przeżyć to ponownie.

Niespodziewanie ktoś chwycił ją za ramię, toteż krzyknęła przestraszona. Gwałtownie się odwróciła i zobaczyła stojącego za nią Elijaha.

- Czy mógłbyś tego nie robić? - wykrztusiła, przyciskając ręce do piersi.

- Myślałem, że wystraszyła cię atmosfera mrocznego cmentarza - zauważył Eli - ale że nie boisz się jasno oświetlonych ulic Edynburga. No dobrze, czy jesteś gotowa wyruszyć po buty?

- Posłuchaj, Eli, nie musisz iść ze mną - odparła pospiesznie. - Obiecałam, że tym razem kupię odpowiednie buty, więc nie musisz mnie pilnować.

- Ale to żaden kłopot. Poza tym, o ile sobie przypominasz, mam zadbać o ochronę twoich palców u nóg.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

- W porządku - oznajmiła. - Zatem chodźmy.

- No to sprawa butów została załatwiona - powiedziała Bronté, kiedy opuścili sklep. - Problem rozwiązany, zadanie wykonane.

- I co teraz? - zapytał Eli.

- Teraz? - powtórzyła. - Teraz wrócę do domu, a ty będziesz robił to, co sobie zaplanowałeś. Spotkamy się za dwie godziny w pracy.

- Czy to znaczy, że nawet nie zjemy razem uroczystej kolacji? Opuściłem moje ciepłe przytulne mieszkanie, przeszedłem kawał drogi, żeby tutaj dotrzeć i udzielić ci dobrej rady... Na dodatek zaczął padać śnieg, a ja nie dostanę nic do jedzenia?

Czyżby chciał przedłużyć to spotkanie? - spytała się w myślach. I gdzieś ze mną pójść? A miałam wrażenie, że pragnie jak najszybciej ode mnie uciec...

Wracaj do domu, Bronté, poleciła sobie w duchu. Podziękuj mu za przysługę i idź do domu. Tam będziesz bezpieczna.

- Przyjemnie byłoby zjeść kolację, ale mieszkam w południowej części Edynburga i nie mam pojęcia, dokąd pójść... - powiedziała wbrew swojemu postanowieniu.

- Do Black Buli przy High Street. To moja ulubiona restauracja. Może nie mają tam tak dobrej kawy jak u Tony'ego, ale podają wyśmienity węgierski gulasz i łososia z wody.

Najwyraźniej w tej restauracji znają go równie dobrze jak w sklepie Harper & Stolins, pomyślała Bronté z przekąsem, kiedy rozpromieniona kelnerka zaprowadziła ich do stołu przy kominku, a potem inna, równie troskliwa, przyjęła od nich zamówienia: gulasz dla Elijaha i łososia dla Bronté.

- Czy ty znasz wszystkie kobiety w Edynburgu? - spytała Brontë, wyciągając ręce w stronę ognia.

- Co mogę poradzić na to, że jestem lubiany? - odrzekł Eli, a Brontë wbrew sobie wybuchnęła śmiechem.

- Ładnie tu - powiedziała, spoglądając na dębową boazerię, perkalowe zasłony i obrazy przedstawiające stary Edynburg. - Bardzo przytulnie i nastrojowo. Choć jestem zaskoczona, że ty lubisz tę restaurację. Przypięłabym ci etykietę faceta o bardziej nowoczesnym guście.

- Czy nie mówiłem ci, że nie należy sądzić mnie po pozorach? - spytał żartobliwym tonem, a kiedy ona ponownie się roześmiała, kiwnął głową z aprobatą. - Nie śmiejesz się zbyt często. Ciekaw jestem, dlaczego?

- Może po prostu podchodzę do życia bardziej poważnie niż ty - odparła. - Albo może miniony rok zmusił mnie do traktowania wszystkiego poważnie.

Ku jej zaskoczeniu Eli położył dłoń na jej ręce.

- Staraj się o tym zapomnieć - rzekł łagodnie. - Staraj się nie patrzeć wstecz, lecz przed siebie.

Łatwo ci tak mówić, pomyślała ze smutkiem, spoglądając na jego silne, sprawne palce. Ty wiesz, jaka czeka cię przyszłość, podczas gdy ja nie mam pojęcia, co będę robić za tydzień.

- A propos, chyba odkryłem, dlaczego masz takie problemy z mężczyznami - ciągnął, uwalniając jej dłoń, kiedy kelnerka postawiła na stole zamówione przez nich dania.

- Myślę, że to już omówiliśmy - zaprotestowała. - Wynikają one z tego, że dobieram sobie nieodpowiednich partnerów i wierzę w miłość, która według ciebie nie istnieje.

- Tak, ale to jest tylko część znacznie poważniejszego problemu. Ile lat ma twój brat?

- Byron? - spytała zdumiona, że zmienił temat ich rozmowy. - Trzydzieści sześć.

- A twoja siostra, Rossetti?

- Dwadzieścia osiem, ale... - Zmarszczyła brwi. - Czy te pytania mają związek z moimi problemami, czy też przeskoczyłeś na zupełnie inny temat?

Eli spojrzał na nią znacząco.

- Czy zniesiesz mnie jeszcze przez minutę? To bardzo ważne. Ile ty masz lat?

- Trzydzieści pięć, ale nie rozumiem, co...

- Wobec tego cierpisz na syndrom środkowego dziecka.

- Co takiego? - zawołała, wybuchając śmiechem, ale gdy zorientowała się, że Eli nie żartuje, spoważniała. - No dobrze, wyjaśnij mi, na czym polega syndrom środkowego dziecka.

- Pierwsze dziecko jest zawsze najbardziej oczekiwane. Rodzice są niezwykle nim przejęci i zachwyceni. Stawiają je na piedestale, podziwiają wszystko, co ono zrobi. No i je rozpieszczają. To twój brat, Byron. Najmłodsze dziecko, jako ostatnie, z gruntu jest rozpuszczone jak dziadowski bicz. To twoja siostra, Rossetti.

- A ja? - spytała.

- Ty... Rodzice nigdy nie chwalili cię tak jak twojego brata czy siostrę, bo mieli już za sobą etap jego nauki chodzenia i od ciebie oczekiwali, że osiągniesz to samo. Natomiast Rossetti rozpieszczali na każdym kroku, zdając sobie sprawę, że ona jest ich ostatnim dzieckiem. Ty byłaś pomiędzy nimi, często pomijana, niedostrzegana, więc dorastałaś, nie mając poczucia własnej wartości.

- Podejrzewam, że twoje psychologiczne podejście jest trochę wypaczone - stwierdziła, czując się nieswojo, a on potrząsnął głową.

- Nie, ten przypadek jest udokumentowany...

- Ale ja wcale nie czuję się od nich gorsza.

- Jestem „czarną owcą” w mojej rodzinie. Tak powiedziałaś. I to mnie zaniepokoiło. Zaniepokoiło mnie, że uważasz, że twój zawód pielęgniarki stawia cię niżej w stosunku do nich.

Chciała mu powiedzieć, że się myli. Ze wcale tak nie uważa, ale nagle zdała sobie sprawę, iż to ona się myli. Ze istotnie czuje się gorsza od brata i siostry. Ze jest jej ciężko, kiedy Byron do niej telefonuje, by zawiadomić ją o swoim wyjeździe do Hongkongu, Nowego Jorku czy do Tokio. Nie było jej też łatwo, kiedy usłyszała, że rodzice kupili Rossetti luksusowy apartament z trzema sypialniami, podczas gdy ona wciąż wynajmowała mieszkanie.

- No dobrze, może istotnie czuję się trochę od nich gorsza - przyznała, uświadamiając sobie, że Eli czeka na odpowiedź. - A jeśli mam być zupełnie szczerą, to w okresie mojego dorastania bywały takie chwile, że pragnęłam należeć do innej rodziny.

- Wiedziałem! - zawołał triumfalnie Eli.

- Jestem pewna, że tobie też się to przytrafiało.

- W moim przypadku... byłbym szczęśliwy, gdybym w ogóle należał do jakiejś rodziny - mruknął.

- To zabrzmiało tak, jakbyś miał ciężkie dzieciństwo.

- Było... minęło - odparł z lekceważeniem.

- Eli...

- Tak czy owak, rozmawiamy o tobie -przerwał jej.

- Okej. Jeśli przyjmę, że istotnie mam syndrom środkowego dziecka, co nie jest prawdą, to nie rozumiem, jak to tłumaczy moje problemy z mężczyznami.

- To oczywiste. Skoro jesteś środkowym dzieckiem, z niskim poczuciem własnej wartości, to stanowisz łatwy cel dla słabych mężczyzn, którzy wchodzi ci na głowę. Powinnaś wybrać sobie partnera wierzącego w siebie, pozbawionego kompleksu niższości.

Takiego jak ty, pomyślała i machinalnie potrząsnęła głową.

- To brzmi ładnie, ale nawet w dwudziestym pierwszym wieku kobiety na ogół nie dokonują wyboru, a jeśli widzimy stuprocentowego mężczyznę, tylko niewiele z nas by do niego podeszło i zaproponowało randkę.

- Ale...

- Eli, stuprocentowi mężczyźni wybierają stuprocentowe kobiety - ciągnęła - więc tacy supermani nie zainteresują się kimś takim jak ja.

- Co miałaś na myśli, mówiąc „kimś takim jak ja”? - spytał z irytacją.

- Spójrz na mnie, Eli.

- Przecież patrzę.

- Ale nie w ten sposób - zawołała ze złością. - Spójrz na mnie tak, jak mężczyzna patrzy na kobietę, z którą zamierza się umówić.

- No dobrze.

Posłusznie odłożył nóż i widelec, splótł palce dłoni i pochylił się do przodu.

- W porządku, patrzę.

Kiedy zaczął przyglądać się jej twarzy, ustom, a potem oczom, poczuła falę gorąca na policzkach. Dziękowała Bogu, że siedzi blisko płonącego w kominku ognia.

- No i co widzisz? - spytała z trudem.

Za nic w świecie nie powiem jej tego, pomyślał. Nie powiem jej, że widzę przed sobą kobietę, która nie jest nawet ładna. Kobietę, której brązowe włosy ze złotymi pasemkami są potargane, a czubek nosa jest czerwony z powodu panującego na dworze chłodu. Kobietę, którą z jakichś niezdro-
wych i niewytłumaczalnych powodów wciąż pragnę pocałować.

- Widzę... - Odchrząknął. - Widzę młodą kobietę o ujmującej osobowości.

- Och, cudownie - mruknęła Bronté. - To jest właśnie to, co chce usłyszeć każda kobieta. Nie...

- Po prostu źle to ująłem - przerwał jej pośpiesznie.

- Chciałem powiedzieć, że...

- Nic się nie stało - oznajmiła lekceważącym tonem. - Poprosiłam, żebyś wyraził swoje zdanie, i to zrobiłeś. Wiem, że nie jestem stuprocentową kobietą.

Jestem pewna, że kiedy zobaczyłeś mnie w poniedziałek wieczorem, pierwsza myśl, która przyszła ci do głowy, była: „Przeciętna, banalna”.

Istotnie, przyznał w duchu. Dokładnie tak pomyślałem, ale pomyliłem się, i to bardzo.

- Oczywiście, że nie zaszukowałem cię do grupy kobiet banalnych - skłamał, a ona potrząsnęła głową.

- Właśnie że tak. Ludzie pamiętają mnie tylko z powodu mojego imienia, więc dziękuję ci za radę w sprawie umawiania się tylko ze stuprocentowymi mężczyznami, ale możesz mi wierzyć, że do tego nie dojdzie.

- A co powiesz o randkach z mężczyznami, którzy są popaprańcami? - zapytał, a ona wybuchnęła śmiechem.

- Takimi jak ty? - zażartowała, nie mogąc się powstrzymać.

Eli ścisnął jej dłoń.

- W tej chwili czuję się tak, jakbym właśnie taki był - mruknął.

- Naprawdę?

Kiwnął potakująco głową.

- Problem polega na tym, że... - Spojrzał jej w oczy. - Że nie mogę cię rozgryźć.

- Wydawało mi się...

Och, na litość boską! On gładzi mnie po dłoni, co sprawia, że nie mogę się skupić, a co dopiero mówić, pomyślała.

- Przecież ustaliliśmy, że łatwo mnie rozgryźć. Ze cierpię na syndrom środkowego dziecka, że jestem przeciętna i banalna.

- Niewątpliwie cierpisz na syndrom środkowego dziecka, ale na pewno nie jesteś ani przeciętna, ani banalna. Jesteś... jedyna w swoim rodzaju.

Jedyna w swoim rodzaju, powtórzyła w duchu. Czyżby uważał mnie za pociągającą?

Nagle usłyszała za plecami stłumiony kobiecy śmiech. Kiedy zerknęła przez ramię i dostrzegła znaczący uśmiech na twarzy kelnerki, zdała sobie sprawę z czegoś, na co powinna była zwrócić uwagę już wcześniej.

Eli z nią flirtował. I to wcale nie dlatego, że był nią zainteresowany... A ona jak żalosna idiotka dała się na to nabrać. Ujął ją jego urok tak jak wszystkie inne kobiety, które uwiódł. Wiedziała, że jeśli natychmiast tego nie przerwie, Eli złamie jej serce.

- Muszę... już iść - powiedziała przez ściśnięte gardło.

- Ale dlaczego? - spytał ze zdumieniem. - Przecież nawet nie skończyłaś łososia...

- Muszę... iść do domu i się przebrać - odparła, gorączkowo szukając pod stołem torby z butami.

- Ale przecież nasza zmiana zaczyna się dopiero o wpół do jedenastej - oznajmił Eli. - Mamy jeszcze godzinę...

- Powinnam też wziąć prysznic - wyjaśniła, nie patrząc na niego. - Tak, muszę wziąć prysznic, przebrać się i przygotować do dzisiejszego dyżuru.

Z tymi słowami ruszyła w stronę drzwi, a Eli pospiesznie wcisnął kelnerce kilka banknotów i szybkim krokiem podążył za nią.

- Bronté, co się dzieje? - spytał, doganiając ją na ulicy.

- Nic... zupełnie nic - odparła, siląc się na pogodny ton. - Dziękuję za pomoc przy zakupie butów i za przyjemną kolację. Do zobaczenia wieczorem - powiedziała, szybko oddalając się od niego.

Bronté ostrożnie jechała ulicą Johnstone Terrace w kierunku Stables Road. Dostali wezwanie do wypadku drogowego, który tej nocy nie był pierwszy. Od momentu przyścia do pracy nie mieli ani chwili wolnej. Kierowcy, nieprzyzwyczajeni doprowadzenia samochodów po jezdniach pokrytych grubą warstwą śniegu, powodowali liczne kolizje.

- Jest policja - powiedziała Bronté na widok migających świateł. - To musiał być poważny wypadek.

Gdy podjechali bliżej, stwierdzili, że samochód najwyraźniej wpadł w poślizg i uderzył w mur, którego część zwała mu się na dach.

- Niestety, stan kierowcy jest poważny - rzekł policjant, kiedy Bronté i Eli do niego podeszli. - Zgodnie z dowodem tożsamości, ofiara wypadku nazywa się Katie Lee i ma dwadzieścia lat.

I nie miała zapiętego pasa bezpieczeństwa, dodał w duchu Eli, spoglądając na samochód i widząc ślady krwi na przedniej szybie, które świadczyły o tym, że kobieta uderzyła w nią głową, kiedy wpadła na mur.

- Na litość boską, cały przód maski jest wgnieciony - wyszeptała Bronté z przerażeniem.

- Uważaj na potłuczone szkło i kawałki metalu - poradził jej Eli.

- Dobrze - mruknęła słabym głosem, a kiedy spojrzała na niego, dostrzegła w jego oczach wyraz niepokoju, więc dodała: - Nic mi nie jest, naprawdę. To tylko...

- Pierwszy poważny wypadek drogowy zawsze szokuje. - Kiwnął głową.
- Ja na przykład zwymiotowałem.

Bronté zmusiła się do uśmiechu, ale kiedy Eli go odwzajemnił, szybko odwróciła wzrok, a on przygryzł wargę.

Gdy pochylił się nad ranną kobietą, chcąc zmierzyć jej tętno, usłyszał dzwonek telefonu komórkowego, który leżał na podłodze samochodu.

- Katie, Katie, czy mnie słyszysz? - spytała Bronté, zaglądając przez stłuczoną szybę w drzwiach pasażera.

- Moje nogi... okropnie bolą... i klatka piersiowa...

- Młoda kobieta jęknęła, próbując wziąć oddech.

- Czuję się tak, jakby leżało na mnie coś dużego i bardzo ciężkiego...

- Tętno słabo wyczuwalne, ciśnienie krwi spada -mruknął Eli, sprawnie zakładając na szyję pacjentki kołnierz usztywniający. - Wygląda mi to na złamania wieloodłamowe kości piszczelowej i strzałkowej oraz miednicy. Czy monitor serca jest podłączony?

- Tak - odparła Bronté.

Oboje popatrzyli na ekran, a potem wymienili spojrzenia. Serce kobiety biło bardzo nierówno. Obawiali się, że może dojść do migotania komór, a co gorsza, nawet do zatrzymania akcji serca.

- Czy nie możemy go wyłączyć? - zawołała Bronté, kiedy ponownie zadzwonił telefon komórkowy ich pacjentki.

Po chwili na jego ekranie pojawiła się następująca wiadomość: „Katie, odezwij się do mnie. Mama”.

- Nie zwracaj na to uwagi - poradził jej Eli. Bronté zacisnęła zęby, starając się posłuchać jego rady, ale trudno jej było mieć przed oczami tę wiadomość i zdawać sobie sprawę, że jeśli szybko nie dostarczą Katie na oddział ratownictwa, to może nigdy na nią nie odpowiedzieć.

- Jak wyciągniemy ją z samochodu? - spytała po podłączeniu workaambu. - Może powinniśmy wezwać straż pożarną?

Eli zmarszczył czoło, a kiedy Katie Lee jęknęła z bólu, podjął decyzję.

- Nie możemy czekać. Ciśnienie spada poniżej minimum. Podejrzewam, że ma krwotok wewnętrzny.

- Ale...

- Wyciągniemy ją, Bronté. Damy sobie radę.

- Wiesz, Eli, będę szczęśliwa, kiedy nasz dyżur dobiegnie końca - powiedziała Bronté, gdy wychodzili ze szpitala po dostarczeniu Katie Lee na oddział ratownictwa. - Jestem wykończona.

- Ja też - odparł. - Czy to nie doktor Carter? Może ma dla nas jakieś wiadomości o Johnie.

Istotnie, miała, ale nie najlepsze.

- Bardzo mi przykro, Eli - oznajmiła posepnym tonem. - Doktor Duncan miał poranny obchód i zrobił aferę w sprawie Johna.

- Inaczej mówiąc, po prostu go wyrzucił - powiedział Eli, z trudem opamięnując złość. - Zerknął na kartę chłopca, nie chciał wysłuchać informacji dotyczącej jego problemu i kazał wypisać go ze szpitala.

- Chyba użył słów: „To nie jest noclegownia dla wykolejeńców”. - Doktor Carter westchnęła. - Zrobiłam na dokumentach Johna notatkę „wyjątkowe okoliczności”, ale...

- Jestem pewny, że to zrobiłaś, Helen - przerwał jej ponurym głosem - ale Duncan jest konsultantem starej daty i nigdy nie postąpi wbrew przepisom.

- Zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy, Eli - oznajmiła doktor Carter pocieszającym tonem.

- Ale nic z tego nie wyszło.

Zanim Helen Carter zdołała coś powiedzieć, Eli odszedł, a Bronté spojrzała na nią przepaszająco i pobiegła za nim.

- Eli, to nie twoja wina - zawołała.

- Czy to ma mi pomóc poczuć się lepiej? Peg mi zaufała, a ja ją zawiodłem, ją i chłopaka. Zwłaszcza jego.

- Przynajmniej się starałeś...

- Ale na nic się to nie zdało! - warknął.

- Eli...

- Ruszaj! Nieważne dokąd pojedziesz, ale zabierz mnie stąd, bo inaczej znajdę Duncana i...

Nie musiał kończyć. Kiedy zapiął pas, Bronté ruszyła ulicą Canongate, a potem pojechała Abbey Mount. Gdy skręciła w Montrose Terrace, usłyszała, że Eli odpina pas.

- Nie usiedzę tu - mruknął. - Stań, Bronté. Muszę się przejść.

Posłusznie zatrzymała ambulans przy krawężniku, ale kiedy Eli wysiadł i z zaciśniętymi w kułak pięściami zaczął chodzić po chodniku w tę i z powrotem, uświadomiła sobie, że nie może siedzieć beczynnym i go obserwować. Że musi coś zrobić. Tak usilnie próbował pomóc chłopcu, tak bardzo się o niego martwił...

- Czy nic ci nie jest? - spytała nieśmiało, podchodząc do niego.

- Cóż za cholernie głupie pytanie! - zawołał Eli, a potem zamknął oczy. Kiedy je otworzył, Bronté dostrzegła w nich wyraz żalu. - Przepraszam cię. Czy zdajesz sobie sprawę, że w ciągu minionych czterech dni przepraszalem cię więcej razy niż kogokolwiek innego przez całe moje życie?

- Może dlatego, że nie spotkałeś dotąd nikogo równie irytującego jak ja - powiedziała, licząc, że te słowa wywołają jego uśmiech, ale niestety tak się nie stało. - Czy chcesz poszukać Johna? Spróbujmy pojechać do franciszkanów. Może wrócił do Peg...

- Czy nie słyszałaś, co Peg mówiła, kiedy go stamtąd zabieraliśmy? - spytał posepnie. - Powiedziała: „Nie chcę cię tu więcej widzieć, John”.

- Tak, ale brzmiało to życzliwie - odparła Bronté. - Po prostu miała nadzieję, że czeka go lepsze życie.

- Ale on zrozumiał to inaczej. Jako zakaz powrotu do Greyfriars. On może być wszędzie, a próba odnalezienia go... - Potrząsnął głową. - W Edynburgu jest tylu bezdomnych.

- Może wrócił do rodziny - powiedziała Bronté, chcąc dodać mu otuchy. - Albo może zabrał go ktoś do jakiegoś domu opieki społecznej...

- Bronté, na jakim świecie ty żyjesz? - zawołał ze złością. - Prędzej zostanie kokainistą albo męską prostytutką...

- Rozumiem...

- Niczego nie rozumiesz! - krzyknął. - Nie masz najmniejszego pojęcia, jak wygląda życie na ulicy, w samotności, bez przyjaciół. Nie wiesz, co to

jest... zażywanie narkotyków, które pozwalają ci na chwilę uciec od rzeczywistości. A ja wiem.

- Eli...

- Tak, co do mnie miałaś rację - ciągnął. - Spędziłem rok na ulicy, więc dokładnie wiem, jak to wygląda.

Rysy jego pobladłej twarzy wyraźnie się zaostrzyły, a ona nie wiedziała, jak ma postąpić, co powiedzieć, więc zrobiła to, co przyszło jej do głowy. Położyła dłoń na jego ramieniu w nadziei, że podniesie go to na duchu, ale on uwolnił się z uścisku jej ręki, klnąc pod nosem.

- Eli, nie trać nadziei. Za każdym razem, kiedy będziemy w mieście, możemy go szukać. Może szczęście nam dopisze i go odnajdziemy.

- Pytałaś mnie, czy mam rodzeństwo - przerwał jej. - Z tego, co wiem, mogę mieć ich dwanaścioro. Moja matka zostawiła mnie w sierocińcu, kiedy miałem cztery lata. „Wrócę za pięć minut”, powiedziała i zniknęła. Nigdy więcej jej nie widziałem.

- Czy wiesz, dlaczego cię zostawiła?

- Chyba dlatego, że miała mnie dosyć - odrzekł lekceważącym tonem. - Miała dosyć marudnego bachora przez cały dzień uczonego jej spódnicy i utrudniającego życie. Tym bardziej, że podobno nie byłem przesadnie miłym dzieckiem.

Bronté z trudem powstrzymała łzy, które napłynęły jej do oczu.

- A twój ojciec?

- Nie pamiętam, żeby w domu był jakiś mężczyzna, więc chyba jestem bękartem. - Uśmiechnął się cierpko.

- Jak wylądowałeś na ulicy? - spytała, pragnąc go objąć, dodać mu otuchy, ale kiedy spojrzała na jego twarz i dostrzegła na niej nieugiętość, doszła do wniosku, że robiąc tak, popełniłaby poważny błąd.

- Kilkakrotnie byłem umieszczany w rodzinie zastępczej, ale każda z nich oddawała mnie z powrotem do sierocińca. - Wzruszył ramionami. - Sprawiałem za dużo kłopotów. Ciągle wdawałem się w bójki, uciekałem z domu...

- Bo byłeś nieszczęśliwy. A kto, czy to dorosły, czy dziecko, nie straciłby panowania nad sobą i nie uciekł, gdyby nagle został pozbawiony tego, co zna i ciągle był umieszczany w obcych domach?

- Masz rację. Kiedy skończyłem czternaście lat, miałem dosyć przechodzenia z rąk do rąk, więc uciekłem. Przez rok żyłem na ulicach Edynburga, dopóki pewien ksiądz z noclegowni nie znalazł mnie śpiącego za ich pojemnikami na śmieci. Początkowo pomyślałem, że jest zboczeńcem, że leci na moje młode ciało - ciągnął Eli z ironicznym uśmiechem. - Skończyło się na tym, że podbiłem mu oko i złamałem nos.

- Czy on cię przygarnął? - spytała, bezskutecznie starając się zachować spokój.

Eli kiwnął potakująco głową.

- Nauczył mnie czytać i pisać, dawał mi książki, zeszyty i pióra, a potem zaczął zabierać mnie na wizyty duszpasterskie. Wtedy poznałem tych ludzi... chorych, umierających.

- I postanowiłeś zostać ratownikiem medycznym.

- Tak.

Bronté przez chwilę wpatrywała się w ciemną pustą ulicę, a potem ponownie spojrzała na Elijaha.

- Eli, istnieją sposoby, żeby odnaleźć twoją matkę. Są stowarzyszenia, które specjalizują się w poszukiwaniu zaginionych osób. Mógłbyś...

- A dlaczego, do diabła, miałbym chcieć ją odnaleźć? - przerwał jej z rozdrażnieniem. - Przecież mnie nie chciała. Gdyby było inaczej, nigdy by mnie nie porzuciła.

- A może miała jakiś powód - zaczęła niepewnym głosem. - Może nie chciała oddawać cię do sierocińca, ale nie miała dość pieniędzy, żeby cię utrzymać, albo była bardzo chora i wiedziała, że nie da sobie rady...

- Święta Bronté! Jak zawsze wyrozumiała, jak zwykle wielkoduszna. Czy nigdy nie zmęczyło cię życie na tym cholernym piedestale? Nic dziwnego, że mężczyźni cię wykorzystują i traktują jak wycieraczkę, bo tym właśnie jesteś!

Uniosła ku niemu pobladłą twarz, która w świetle księżyca wydawała się jeszcze bledsza. Gdy z wieży pobliskiego kościoła dobiegło bicie zegara, wyjęła z kieszeni kluczyki od karetki i podała mu je, wzruszając ramionami.

- Jest wpół do siódmej, więc nasza zmiana dobiegła końca - powiedziała. - Ponieważ mieszkam za rogiem... Czy zechciałbyś odstawić za mnie ambulans do bazy?

- Nie ma problemu - odparł nonszalanckim tonem. Ale kiedy ruszyła w stronę swojego domu, Eli poczuł, że ma ochotę pobiec za nią, paść na kolana i błagać ją o wybaczenie tego, co przed chwilą jej powiedział.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Piątek, 22:14

- Chciałbym się dowiedzieć, co między wami zaszło. Domagam się, żebyś powiedział to prostymi słowami - rzekł George Leslie z gniewem.

- A ja będę zadowolony, jeśli mi wyjaśnisz, o co ci chodzi - odrzekł Eli z uśmiechem, przecierając przednią szybę ambulansu, a potem wrzucając irchę do schowka.

- O pannę O'Brian.

Eli gwałtownie spoważniał.

- Co z nią?

- Nie udawaj niewiniątka!- zawołał szef.- Zostały ci tylko trzy noce! Trzy noce, w czasie których musisz, zapanować nad swoim cholernym charakterem. Przez trzy zmiany powinieneś być miły, uprzejmy... ale nie, ty musiałeś wszystko schrzanić!

- Skarżyła się na mnie, tak?

- Zadzwoiła do mnie dziś po południu i spytała, czy nie mogłaby zostać przydzielona do innego ambulansu, bo wydaje jej się, że działa ci na nerwy. Oczywiście, to kompletna bzdura - ciągnął George, spoglądając na niego znacząco. - Doskonale wiem, że jeśli ktoś komuś działa na nerwy, to ty jesteś tego źródłem.

- Więc ona uważa, że mnie denerwuje, tak? - powiedział Eli z niedowierzaniem, a jego szef kiwnął głową.

- Szczerze mówiąc, nie uwierzyłem w ani jedno jej słowo, ale...

- Do kogo ją przydzieliłeś? - przerwał mu Eli, a George uniósł ręce z irytacją.

- Powiedziałem panie O'Brian, że nie mogę jej przydzielić do nikogo innego, jeśli nie wprowadzę ogromnych zmian w dyżurach pracowników, a z powodu trzech nocy nie warto zawracać sobie tym głowy, więc musi zostać z tobą.

- Rozumiem.

- Nie sędzę. Eli, chcę, żebyście rozwiązali wasze problemy. Ona wygląda na dość miłą osobę, nie na jakąś przeciętną urzędniczkę.

- Bo nią nie jest.

- Więc proszę cię, żebyś nie deptał jej po odciskach, dobrze?

- George... - zaczął Eli, ale urwał, bo zauważył idącą w ich stronę Bronté, a jego szef na jej widok zmarszczył brwi.

- Nie chciałbym być zmuszony do odbywania tej rozmowy po raz drugi, Eli, jasne? - oznajmił półgłosem George Leslie i pospiesznie odszedł.

- Zapowiadali kolejną zimną noc - oznajmiła Bronté niepewnie, podchodząc do niego. - Podobno na ulicach leży około piętnastu centymetrów śniegu.

- Tak.

Wydała mu się bardzo zmęczona, wręcz wyczerpana. Cienie pod oczami sugerowały, że kiepsko spała. On też zresztą spędził bezsenłą noc, nie mogąc zapomnieć jej reakcji na słowa, jakie wypowiedział podczas ich ostatniej rozmowy.

- Miejmy nadzieję, że nie będzie tylu wezwań co ubiegłej nocy - powiedziała.

- Miejmy nadzieję.

- Eli...
- Bronté...
- Ty pierwsza.

Bronté przygryzła wargę, a potem wzięła głęboki oddech.

- Widziałam, jak rozmawiasz z szefem. Próbowałam namówić go do zmiany harmonogramu dyżurów, przekonać go, żeby przydzielił mnie do kogoś innego, ale on uważa, że to byłoby zbyt trudne do wykonania. Przepraszam.

Ona sprawia wrażenie osoby, która chciałaby być gdziekolwiek byle nie tu, rozmawiać z kimkolwiek byle nie ze mną, pomyślał, a jego poczucie winy przerodziło się w złość.

- Dlaczego, do diabła, nie powiedziałaś mu prawdy? - spytał z rozdrażnieniem. - Że ostatniej nocy; byłem wobec ciebie nieuprzejmy i obcesowy. Że nie możesz znieść mojego towarzystwa.

- Bo to nie byłaby prawda - odparła. - Posunęłam się za daleko. Wtrącałam się w twoje prywatne sprawy, więc miałeś pełne prawo zmieszać mnie z błotem.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem. Ona nie może wierzyć w to, co mówi, pomyślał, ale w jej szarych oczach dostrzegł jedynie szczery żal.

- Do diabła, Bronté, czy ty zawsze musisz być taka wyrozumiała, przychylna, tak cholernie... miła? Po tym, co ci powiedziałem dziś rano... Powinnaś była nazwać mnie wyrzutkiem społeczeństwa i dać mi po twarzy!

Ku jego zaskoczeniu Bronté się uśmiechnęła.

- Wiesz, odkąd zaczęłam z tobą pracować, zebrałam sporo określeń dotyczących mojej osoby. Zawsze wiedziałam, że jestem nudna i pospolita...

- Wcale nie!

- A ty dodałeś do tego syndrom środkowego dziecka, niskie poczucie własnej wartości, wycieraczkę...

- To było absolutnie nie na miejscu.

- Byłoby, gdybym nie podejrzewała, że masz rację. Więc w pewnym sensie wyświadczyłeś mi przysługę, toteż dziś rano złożyłam sobie obietnicę. Koniec z miłą Bronté. Teraz będzie wredna Bronté.

- Bardzo się z tego cieszę. Ale to nie zmniejsza mojego poczucia winy. Wczoraj zachowałem się jak pomyleniec.

- Ale...

- Byłem zły - przerwał jej. — Wiem, że to mnie nie tłumaczy, ale byłem wściekły na Duncana za jego głupotę. - Spojrzał jej w oczy. - Byłem też rozgniewany na ciebie, że w jakiś sposób sprowokowałaś mnie, żebym opowiedział ci o sobie, o mojej przeszłości. Nigdy tego nie robię...

- A może powinieneś.

- Co było, to było - odrzekł, siląc się na obojętny ton. - Niedobrze jest do tego powracać, rozpamiętywać przeszłość, bo to i tak niczego nie zmieni.

- To prawda - przyznała. - Ale niekiedy trzeba obejrzeć się za siebie, pogodzić z tym, co było, żeby przeszłość więcej nie mogła cię zranić, a potem ruszyć do przodu z nową energią.

W tym momencie rozległ się dźwięk radiotelefonu.

- Violet Young, staruszka mieszkająca przy Jeffrey Street 22. Sąsiadka zobaczyła, że leży w korytarzu, prawdopodobnie nieprzytomna, ale nie może do niej wejść, bo zamknięte są drzwi frontowe.

Bronté ruszyła.

- Tu jest mnóstwo domów - stwierdziła, kiedy skrzyła w Jeffrey Street. - Miejmy nadzieję, że mają numery.

Tak też było, ale w ich przypadku nie miało to większego znaczenia, ponieważ sąsiadka, która zatelefonowała pod numer 999, stała na pokrytym śniegiem chodniku i do nich machała.

- Tak się cieszę, że już jesteście - oznajmiła, kiedy Eli i Bronté wysiedli z ambulansu. - Pani Young... Wiedziałam, że przez cały dzień siedzi w domu z powodu śniegu, ale pół godziny temu zadzwoniła do mnie jej córka. Powiedziała, że matka nie odbiera telefonu, więc poszłam do niej i...

- Nie odpowiedziała, kiedy pani zadzwoniła do drzwi, tak? - spytał Eli, a kobieta potrząsnęła głową.

- Zajrzałam przez otwór na listy i zobaczyłam, że leży na podłodze i w ogóle się nie rusza.

- Proszę wracać do domu - powiedział Eli. - Zajmiemy się panią Young.

- Na pewno? - spytała, uważnie im się przyglądając. - Nie chciałabym zostawiać moich dzieci zbyt długo samych, ale jeśli mogłabym w czymś pomóc...

- Dość już pani zrobiła - oznajmił Eli, a na twarzy kobiety pojawił się wyraz ulgi.

Weszli do budynku, w którym mieszkała pani Young.

- Czy coś widzisz? - spytała Bronté, kiedy Eli przykucnął i przez otwór na listy zajrzał do mieszkania pani Young.

Eli kiwnął głową.

- Leży na samym końcu korytarza w dość dziwnej pozycji, z czego wnosię, że może ma złamaną rękę lub nogę. Pali się światło, więc upadła raczej wieczorem, a nie w ciągu dnia.

- To dobra wiadomość, prawda? - powiedziała Bronté, ale Eli jej nie słuchał, gdyż był pochłonięty opukiwaniem obudowy drzwi. - Chyba nie chcesz ich wyłamać? - spytała, patrząc na niego z niedowierzaniem.

- Nie trzeba być supermanem, żeby to zrobić -mruknął. - Tu jest zwykły zamek, więc jeśli je pchnę w odpowiednim miejscu, to same się otworzą.

- Naprawdę? - Bronté przełknęła ślinę na myśl o tym, że w drzwiach jej mieszkania jest dokładnie taki sam zamek.

- Zamek antywłamaniowy jest znacznie lepszy. A jeśli dodasz do niego zasuwę, będziesz jeszcze bardziej bezpieczna. Dla większej pewności można założyć sztabę, choć to oznacza, że jeśli w mieszkaniu stracisz przytomność, to ratownicy nie będą w stanie dostać się do środka i cię zreanimować.

- Tak - mruknęła Bronté, zapamiętując, by zatelefonować do stolarza, kiedy tylko skończy dyżur.

Eli cofnął się, wziął głęboki wdech i uderzył nogą prosto w drzwi.

- Jestem pod wrażeniem - oznajmiła, kiedy zamek ustąpił, a potem potrząsnęła głową i dodała: - Nie, to nieprawda. Jestem przerażona, że zrobiłeś to z taką łatwością.

- Gdybyś nosiła numer dziesiąty, też by ci się udało - odrzekł z szerokim uśmiechem, a potem zaklął, widząc na końcu korytarza owczarka alzackiego, który szczyrzył zęby i głośno warczał. - Cudownie. Dlaczego sąsiadka nie uprzedziła nas, że pani Young ma psa?

- Co teraz zrobimy? - wyszeptała Bronté.

- Musimy zadzwonić do gliniarzy i poprosić, żeby przysłali tu przewodnika psów.

- A co z panią Young? Im dłużej będziemy czekać...

- Wiem, ale czy naprawdę chcesz stanąć do walki z tym potworem?

Bronté wychowywała się ze zwierzętami. Kiedy Byron, Rossetti i ona dorastali, w domu zawsze były co najmniej dwa psy, choć żaden z nich nie

dorównywał wielkością temu owczarkowi. W jego oczach jednak dostrzegła więcej strachu niż wściekłości.

- Dobry pies - powiedziała łagodnie, postępując krok do przodu. - Kochany piesek.

- Czyś ty oszalała? - syknął Eli, chwytając ją za ramię.

- Wiem, co robię - odparła półgłosem. - Puść mnie, Eli.

- Ale Bronté...

- Kochany piesek, nie chcemy cię skrzywdzić, ani twojej pani - ciągnęła ze wzrokiem utkwionym w zwierzęciu, robiąc kolejny krok w jego stronę.

- Wiem, że się boisz, bo nas nie znasz, ale przyszliśmy tutaj, żeby pomóc twojej pani.

Pies usiadł. Nadal szczyrzył zęby i nie odrywał oczu od Bronté, ale jego warczenie przycichło.

W tym czasie Eli zatelefonował na policję i poprosił o przysłanie przewodnika.

- Dobry pies, miły piesek. Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

Zrobiła kolejny krok. Zerknęła na panią Young i zauważyła, że jej klatka piersiowa powoli unosi się i opada. Dostrzegła też ciemnoniebieską plastikową zabawkę w kształcie kości i przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Powoli pochyliła się i chwyciła zabawkę.

- Czy chcesz się pobawić? - spytała, a pies pomachał ogonem.

Drzwi do salonu były otwarte, więc Bronté pomyślała, że jeśli uda jej się go tam zwabić, rzucając zabawkę, to...

- Bronté...

- Bądź cicho, Eli - poleciła mu, a potem, nie odrywając oczu od psa, powtórzyła: - Czy chcesz się pobawić? - Pomachała kością, z której owczarek nie spuszczał oczu.

Teraz albo nigdy, pomyślała, biorąc głęboki wdech.

- Przynieś! - krzyknęła, wrzucając zabawkę do salonu.

Pies jak błyskawica pobiegł za zabawką, a Bronté zamknęła drzwi. Oparła się o nie, ciężko oddychając.

- Co powiedzieli na policji? - spytała, kiedy Eli podszedł do pani Young.

- Że będą tu w ciągu trzech minut - odparł, podłączając ją do monitora serca.

- Co z nią?

- Częstość akcji serca nie jest taka zła, biorąc pod uwagę wiek, tętno trochę za słabe... Podejrzewam, że ma złamaną prawą nogę.

Bronté odetchnęła z ulgą na widok krzepkiego mężczyzny w mundurze, który pojawił się we frontowych drzwiach.

- Podobno macie jakiś problem z psem? - spytał z szerokim uśmiechem.

- Można tak to ująć - oznajmiła Bronté, kiedy odgłosy szczekania i warczenia wyraźnie się nasiliły. - Czy mógłby pan mnie wyręczyć i potrzymać te drzwi? Tylko proszę ich nie otwierać, dopóki nie zabierzemy właścicielki psa do Pentland.

- Nie ma sprawy - odparł przewodnik, podchodząc do drzwi i chwytając za klamkę.

- Co mam robić, Eli? - spytała, klękając obok niego.

- Połóż worek ambu na niej i ruszajmy. Ona jest bardzo wyziębiona, co oznacza, że leży tu od jakiegoś czasu.

- Ona ma imię, młody człowieku - mruknęła pani Young, a Eli uśmiechnął się do niej.

- Więc odzyskała pani świadomość?

- Nie, po prostu mówię, kiedy jestem nieprzytomna. Oczywiście, że odzyskałam świadomość.

- Niestety, musimy zawieźć panią do szpitala - rzekła Bronté, a na twarzy starszej pani pojawił się cień niepokoju.

- A co będzie z Bąbelkiem? Musicie zadzwonić do mojej córki, kazać jej tu przyjechać i zaopiekować się nim. Nie mogę go zostawić samego...

Więc ten ogromny owczarek alzacki, który w tej chwili próbuje wyłamać drzwi salonu, ma na imię Bąbelek? - pomyślała Bronté ze zdumieniem.

- Moja koleżanka za chwilę położy na pani ambu, a potem pojedziemy do szpitala - oznajmił Eli. - Poza tym ktoś zadzwoni do pani córki w sprawie psa, więc proszę przestać się nim martwić i zacząć myśleć o sobie.

Pani Young lekko się uśmiechnęła i spojrzała na Bronté.

- Czy on zawsze jest taki apodyktyczny, moja droga? - spytała, a Bronté kiwnęła głową.

- Niestety, tak. Prawdę mówiąc, jest z tego znany, więc na pani miejscu ustąpiłabym mu z godnością.

- Moim zdaniem nic jej nie będzie - oznajmiła Bronté po dostarczeniu pani Young na oddział ratownictwa.

- Idę o zakład, że wróci do domu w ciągu miesiąca - odrzekł Eli, kiedy szli przez poczekalnię w stronę wyjścia.

- Jej córka sprawiała wrażenie sympatycznej - stwierdziła Bronté. - Jestem bardzo zadowolona, że zajmie się psem. Wiem, że go nie polubiłeś, ale on starał się bronić swojej pani.

Eli milczał.

- Wiem, że wyglądał przerażająco - ciągnęła - ale musisz spojrzeć na to z jego punktu widzenia. Jego pani leżała bez ruchu, a do domu wtargnęli jacyś obcy ludzie.

Eli wciąż milczał, więc Bronté wciągnęła powietrze ze zniecierpliwieniem.

- W porządku, widzę, że korci cię, żeby zmyć mi głowę, więc dlaczego tego nie robisz?

Kiedy wyszli ze szpitala, Eli odwrócił się do niej.

- To, co zrobiłaś... z tym psem - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Twoje zachowanie można zakwalifikować do najdzielniejszych lub do najgłupszych...

- Domyślam się, że jesteś za najgłupszym - rzekła z uśmiechem, na który nie zareagował.

- Powiedziałem, że musimy poczekać na przewodnika, ale ty mnie nie posłuchałaś!

- Eli, znam się na psach...

- Na wszystkich psach świata? - wybuchnął.

- Nie to miałam na myśli, ale oceniłam sytuację, ryzyko...

- Że mogę dostać zawału serca i paść na podłogę obok pani Young! - zawołał z gniewem w oczach.

Bronté wiedziała, że Eli nie żartuje i przygryzła wargę.

- Przepraszam, że dałam ci powód do niepokoju, ale obserwowałam jego oczy. Doszłam do wniosku, że on jest bardziej przerażony niż...

- Bronté, nie masz zielonego pojęcia, co taki pies jest w stanie zrobić. Może cię dotkliwie pogryźć, poszarpać ci rękę...

- Ale tego nie zrobił. Nie jestem głupia...

- Czy naprawdę chcesz, żebym to skomentował?

- Poza tym psy należy osądzać przede wszystkim po wyrazie ich oczu - ciągnęła, nie zwracając uwagi na jego ironiczne pytanie. - Po oczach i mowie ciała.

- To jest największy stek bzdur, jakie kiedykolwiek słyszałem! - zawołał. - Nigdy nie wiadomo, czego można się spodziewać. Każdy pies może zamienić się w maszynę do zabijania. A im są większe, tym więcej mogą wyrządzić szkód. Pamiętam, jak kiedyś, mieszkałem wtedy na ulicy... - Zamknął na chwilę oczy. - Nie chcę nawet myśleć, co stało się temu biedakowi, a co dopiero o tym mówić.

Bronté przez sekundę patrzyła na niego.

- Przepraszam — wyszeptała ze skrucą. - Nie zdawałam sobie sprawy... Czy ty naprawdę tak się o mnie niepokoiłeś?

Miał ochotę chwycić ją za ramiona i potrząsnąć, bo jego serce zamarło, kiedy podeszła do tego psa. Wydała mu się taka krucha i bezbronna, że z trudem nad sobą zapanował.

- Jeśli położysz rękę na mojej piersi, to poczujesz, że ono wciąż bije jak dzwon.

- Wierzę ci na słowo - powiedziała drżącym głosem. - Naprawdę, bardzo cię przepraszam. I obiecuję, że to się już nigdy nie powtórzy.

Eli miał nadzieję, że Bronté mówi poważnie. I że już nigdy nie przeżyje podobnych dziesięciu minut.

Kiedy tylko wsiedli do ambulansu, usłyszeli dźwięk radiotelefonu.

- Mężczyzna w wieku trzydziestu dwóch lat. Skrzyżowanie ulic College i Nicolson. Zderzenie dwóch samochodów. Jedna ofiara doznała urazu kręgosłupa szyjnego. Drugi kierowca bez obrażeń. Policja jest już na miejscu.

Bronté zmarszczyła brwi, ruszając w stronę Nicolson Street. Kiedy przyjechali na miejsce, Eli zajął się rannym kierowcą, a Bronté roztrzęsioną kobietą, która prowadziła drugi samochód.

Minęło piętnaście minut, zanim Bronté zdołała ją uspokoić, a potem namówić do wezwania taksówki i powrotu do domu.

- Jak czuje się twój pacjent? - zapytała. - Czy wieziemy go do Pentland?

Eli kiwnął potakująco głową.

- Znowu pada śnieg - stwierdziła Bronté z irytacją, kiedy jadąc ulicą Canonsgate, musiała uruchomić wycieraczki. - A to oznacza, że zwiększy się liczba durniów, którzy dojdą do wniosku, że fajnie byłoby wyjechać na drogę i sprawdzić, jak daleko dotrą, zanim wpadną w poślizg i w coś uderzą.

- Lub kogoś potrąca.

Wiedziała, kogo Eli ma na myśli, i pospiesznie na niego spojrzała.

- Rozglądałam się za nim, Eli - powiedziała. - Kiedy jechałam... Za każdym razem, kiedy mijałam grupę młodzieży czy bezdomnych, rozglądałam się za Johnym.

- Ja też - przyznał Eli. - Ostatnie noce były okropnie zimne. Pocieszałem się myślą, że znalazł sobie miejsce w schronisku dla bezdomnych.

- Czy myślisz, że Peg dobrze się czuje? - spytała nieśmiało, a on zmusił się do uśmiechu.

- Peg to twarda sztuka. Jeśli ktoś ma przetrwać tę zimę, to właśnie ona, ale tylu bezdomnych jest na ulicach... Kiedy widzę starsze osoby, takie jak pani Young, myślę o ich długim życiu, o radosnych wspomnieniach, ale gdy zobaczę młodych narkomanów, alkoholików... - Potrząsnął głową. - Wtedy zadaję sobie pytanie: Jak doszło do tego, że się pogubiliście? Że ześliście na złą drogę?

- Mój brat, Byron, uważa, że ludzie sami dokonują w życiu wyborów.

- Zgadza się z nim do pewnego stopnia - odparł. - A teraz kawa. Jedźmy do Tony'ego.

Bronté zawahała się, a potem wzięła głęboki oddech.

- Prawdę mówiąc, zastanawiałam się nad tym, co mówiłeś wcześniej... że nie poznałam ani nie rozmawiałam z żadnym ratownikiem z waszej bazy - powiedziała w pośpiechu. - Więc doszłam do wniosku, że tej nocy powinniśmy zrobić sobie przerwę w ośrodku, co ty na to?

Do diabła, wcale nie chcę spędzać czasu w gronie kolegów, pomyślał Eli.

- W zasadzie to dobry pomysł - skłamał beztróskim tonem. - Ale w piątkowe noce... zawsze jest pełno ludzi, wszyscy są wykończeni, więc istnieje małe prawdopodobieństwo, że znajdziesz kogoś, z kim będziesz mogła porozmawiać.

- Aha.

Bronté nie wyglądała na zadowoloną, ale on nie zamierzał ustąpić i uśmiechnął się do niej zachęcająco.

- No to jedźmy do Tony'ego - powtórzył. Choć Bronté bardzo nie chciała siedzieć z nim

w ambulansie i pić kawy, postanowiła, że będzie dla niego miła.

- Cappuccino i pączek, tak? - spytał Eli, wysiadając z ambulansu, kiedy zatrzymali się przed barem.

Bronté zastanawiała się przez dłuższą chwilę.

- Cappuccino na pewno, ale dzisiaj mam ochotę na hamburgera. Soczystego, z dużą ilością cebuli.

Eli uniósł brwi, ale nie skomentował jej zamówienia i wszedł do baru.

- Nie spodziewałem się, że zobaczę cię jedzącą hamburgera - zauważył, kiedy Bronté odgryzła kawałek mięsa, a potem zamknęła oczy, delektując się jego smakiem.

- No cóż, masz na mnie zły wpływ.

- Ja?

- Ale tylko w sprawie hamburgerów - odparła.

- Naprawdę?

Usłyszała w jego głosie przewrotną poufałość i poczuła przebiegający po jej plecach dreszcz.

- Naprawdę - odparła, pragnąc, żeby porzucił ten temat, ale on mówił dalej.

- Czy chcesz się o to założyć?

Odgryzła kolejny kęs hamburgera i z trudem go przełknęła.

- Nie - mruknęła. - Nie jestem tym zainteresowana. Nie zwykłam się zakładać.

- Więc może mógłbym zaoferować ci coś, co by cię zainteresowało - rzekł łagodnym tonem.

- Słucham - wyszeptała, czując ucisk w żołądku.

- Bronté, wiem, że uważasz mnie za pewnego siebie, zarozumiałego...

- Aroganta - dokończyła. - Nie pomijaj tego słowa.

- Jest ono wyryte w moim sercu - odparł z uśmiechem, choć widać było, że to określenie go zirytowało. - Ale rzecz w tym, że... jesteś wyjątkową kobietą, Bronté. Nie chcę być próżny, ale myślę, że ty też mnie lubisz, więc zastanawiałem się, czy nie zechciałabyś pójść ze mną na kolację przed jutrzejszym dyżurem.

Wbiła wzrok w swój plastikowy kubek, a potem spojrzała na niego.

- Na kolację? - powtórzyła. - Czy mówimy tylko o kolacji, czy o czymś więcej?

Na jego twarzy pojawił się zabójczy uśmiech.

- Och, daj spokój, Bronté, oboje jesteśmy dorośli i myślę, że moglibyśmy razem dobrze się zabawić.

Dobrze się zabawić, powtórzyła w duchu, czując bolesny skurcz serca. Żadnego prawdziwego związku, tylko „dobra zabawa”. Ogarnęła ją złość... wściekłość na samą siebie za to, że po raz kolejny zachowała się jak idiotka. Bo miała nadzieję, że Eli zaproponuje coś więcej... Nie mniej wściekła była na niego za to, że uwierzył, iż ona tak nisko się ceni i postąpi tak jak inne kobiety w jego życiu.

Miała ochotę rzucić w niego kubkiem z kawą, ale przemogła się i postawiła go ostrożnie na desce rozdzielczej.

- A jak długo miałyby potrwać ta „zabawa”? - spytała, starając się mówić obojętnym tonem.

Eli zamrugał.

- Słucham?

- Po prostu zastanawiam się, czy mam liczyć na to, że spędzę z tobą zwyczajowe dwa miesiące, czy też szczęśliwym zrzędzeniem losu mogę mieć nadzieję na przedłużenie tego okresu.

Eli zmarszczył brwi.

- Uważam ten komentarz za zbędny - odparł lodowatym tonem, a ona wzruszyła ramionami.

- Po prostu jestem realistką, bo to, co ty nazywasz „zabawą”, kończy się dla wielu kobiet miłosnym zawodem, więc wkroczenie na tę drogę wymaga ode mnie chwili zastanowienia.

- Nigdy w życiu nie zламаłem serca żadnej kobiecie! - zawołał z oburzeniem. - Zawsze postępowałem uczciwie i nigdy żadnej nie obiecywałem trwałego związku.

Dlaczego on tego nie widzi? - spytała się w duchu. Dlaczego stale zaprzecza oczywistym faktom?

- Eli, czy ty jesteś ślepy czy głupi? A może i jedno i drugie? Czy nie widzisz... czy nie rozumiesz, że twoje przekonanie o własnej uczciwości nie ma żadnego znaczenia? Wątpię, czy jakakolwiek kobieta, z którą się umawiałaś, nie pomyślała sobie: „To poważna sprawa, z którą mogę wiązać przyszłość”. Choćbyś nie wiem jak próbował je przekonać, że spotykasz się z nimi tylko dla „zabawy”, one myślą: „On się przy mnie ustakuje, bo ja potrafię go zmienić”.

- Ja w to nie wierzę.

- To dlatego, że mimo całej swojej gadaniny nic nie wiesz o kobietach. Tylko bierzesz i bierzesz, nic nie dając w zamian. Randki, seks to dla ciebie gra bez ryzyka. Zachowujesz dystans. Nie dopuszczasz nikogo do swojego umysłu ani do serca.

- A ty uważasz się za specjalistkę od układów męsko-damskich, tak? - warknął, czerwieniąc się z gniewu.

- Kiedy wiązałam się z jakimś mężczyzną, nie traktowałam tego jako okazji do „zabawy”, lecz dawałam mu kredyt zaufania. Być może nie miałam szczęścia, bo moje związki nie były udane, ale...

- Posłuchaj...

- Nie, to ty posłuchaj - przerwała mu z wściekłością. - Związki, miłość... dla ciebie to tylko zabawa. A czy wiesz, dlaczego? Dlatego że w gruncie rzeczy jesteś tchórzem. Niczego nie traktujesz poważnie, nikomu nie pozwalasz się do siebie zbliżyć. Udajesz twardziela, ale tak naprawdę jesteś tchórzem. Wiem, że zostałeś skrzywdzony przez matkę...

- Nie mieszaj do tego mojej matki - zawołał, ale to jej nie powstrzymało.
- Może to, że cię zostawiła, spowodowało...
- Więc uważasz, że odgrywam się na kobietach za to, co zrobiła mi moja matka? - krzyknął z niedowierzaniem.
- Oczywiście, że tak nie uważam. Powiedziałam tylko, że boisz się za-
nadto do kogoś zbliżyć, żeby ponownie cię nie zranił.

Potrząsnął głową ze zniecierpliwieniem.

- Nigdy w życiu nie słyszałem takiego psychobelkotu! Mam już dosyć tej rozmowy.
- To ty ją zacząłeś - powiedziała z naciskiem.
- Więc i ja ją zakończę!
- W porządku. - Kiwnęła głową. - Dostajesz ataku furii, bo nie chcesz usłyszeć słów prawdy, ale od tej pory nie licz na moją pomoc.
- Do diabła, dokąd idziesz? - spytał, kiedy otworzyła drzwi i wysiadła.
- Wracam do ośrodka, gdzie atmosfera jest mniej toksyczna.
- Nie wygłupiaj się! Nie możesz iść sama przez ten rejon o wpół do piątej rano. Bóg raczy wiedzieć, jakich odmieńców możesz spotkać o tej porze.
- Zaryzykuję.
- Chyba oszalałaś!

Wiedziała, że Eli ma rację, ale zatrzasnęła drzwi i odeszła. Chodzenie w samotności po The Meadows o wpół do piątej rano nie było mądrym pomysłem. Tym bardziej że padał gęsty śnieg. Ale doskonale zdawała sobie sprawę, że musi uciec od swego towarzysza. Wiedziała, że jeśli tego nie zrobi, to wybuchnie płaczem, a za żadne skarby świata nie chciała dać mu

do poznania, że aż tak jej zależy... że tak bardzo pragnie być tą kobietą, która może go zmienić.

- Bronté, zaczekaj!

Usłyszała hałas zatrząskiwanych przez niego drzwi ambulansu, a potem ciche przekleństwo.

Pewnie o coś się potknął. Dobrze mu tak! - pomyślała, nie zwalniając kroku.

- Bronté!

Dogonił ją i chwycił za ramię, ale ona uwolniła się z uścisku jego dłoni.

- Odejdź, Eli. Idź sobie!

- Chciałem z tobą porozmawiać - nalegał, zastępując jej drogę.

- Więc spotka cię rozczarowanie - odparła, siląc się na obojętny ton.

Nagle poczuła, że po jej policzku spływa łza.

- Och, nie! - zawołał Eli, spoglądając na nią z przerażeniem. - Bronté, proszę cię, nie płacz.

- Ja wcale nie płaczę - skłamała. - Po prostu... coś wpadło mi do oka.

- Przemokniesz do nitki - wyszeptał, delikatnie strzepując z jej włosów płatki śniegu. - Wróć do samochodu, zanim zamarzniesz na śmierć - poprosił ją, kładąc ręce na jej ramionach na wypadek, gdyby chciała odejść.

Zanim zdążył się zastanowić, zanim zdał sobie sprawę, co zamierza zrobić, pochylił głowę i ją pocałował. Kiedy poczuł smak jej ust, objął ją i przyciągnął do siebie.

Tak bardzo go pragnę, pomyślała Bronté, wsuwając palce w jego włosy i odwzajemniając pocałunek. Pragnęłam tego faceta, kiedy zobaczyłam go w przedpokoju u Wendy. Ale muszę to przerwać, bo on mnie rzuci. Zostawi tak jak inne swoje kobiety.

- Przestań, Eli - wyszeptała, niemal łkając. - Nie próbuj mnie podrywać, nie igraj ze mną, bo tego nie zniosę.

- Bronté...

- Nie jestem taka jak ty. Nie potrafię żyć w taki sposób, zmieniać partnerów co miesiąc. Wiem, że jeśli za bardzo się do ciebie zbliżę, złamiesz mi serce, a wtedy nie będę w stanie zacząć życia od nowa.

- Nigdy nie złamałbym ci serca.

- Może nie zrobiłbyś tego umyślnie, ale tak by się stało.

- Bronté...

- Odpowiedz mi na jedno pytanie - przerwała mu. - Jak długo trwałby nasz związek? Kiedy porzuciłbyś mnie dla jakiejś innej kobiety?

- Jak mogę odpowiedzieć ci na to pytanie? - zawołał. - Przecież nie można zaplanować przyszłości w taki sposób. Żylibyśmy po prostu z dnia na dzień, jak wszystkie inne pary.

- Ale nasz związek byłby inny! - zawołała. - Przecież sam mi mówiłeś, że nie wyobrażasz sobie trwałego układu z jedną kobietą, a ja... Mam trzydzieści pięć lat i nie zamierzam się bawić. Pragnę mieć kogoś dla siebie, kogoś, kto będzie o mnie dbał... - Głos jej się załamał. - Kogoś, kto będzie mnie kochał... a tym kimś nie jesteś ty, prawda?

Dostrzegła na jego twarzy brak zdecydowania.

- Wybacz mi. Przepraszam - mruknął.

- Ja też cię przepraszam - wyszeptała, ale kiedy odwróciła się od niego, chcąc odejść, wyciągnął rękę i ją zatrzymał.

- Nie pozwolę ci samej iść przez The Meadows. Jeśli... - Przygryzł wargę. - Jeśli nie zniesiesz mojego towarzystwa w ambulansie, to wrócę do bazy pieszo.

- Mogą na ciebie napaść tak samo jak na mnie - powiedziała z naciskiem, a on zmusił się do uśmiechu.

- Jestem od ciebie większy i silniejszy.

- Nie, wrócimy razem, ale chcę, żebyś mi coś obiecał. Że więcej nie będziesz próbował ze mną flirtować. Żadnych pochlebstw, pocałunków, bo więcej tego nie zniosę. Naprawdę.

Eli nie odezwał się ani słowem, tylko kiwnął głową.

Gdy Bronté szła w stronę ambulansu, myślała tylko o tym, że jest w nim zakochana po uszy. I że już ma złamane serce.

TLR

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Niedziela, 0 :15

Spodziewała się, że ta noc nie będzie łatwa, ale fatalny nastrój Elijaha mimo to ją zaskoczył.

Ona też była zmęczona i miała wszystkiego dosyć. Spędziła bezsenne przedpołudnie, rozmyślając o wydarzeniach poprzedniej nocy. Wmawiała sobie, że podjęła słuszną decyzję, a potem oskarżała się o to, że postąpiła jak idiotka, nie korzystając z szansy spędzenia z nim dwóch miesięcy...

- W lewo. Powinnaś była pojechać w lewo - odezwał się Eli, kiedy na skrzyżowaniu skręciła w prawo.

- Czy jesteś tego pewny? Myślałam, że będzie szybciej, jeśli pojedę przez Grassmarket.

- To źle myślałaś.

- W porządku - mruknęła i zaczęła wycofywać samochód.

- Co ty, u licha, robisz? - zawołał Eli.

- Przecież powiedziałeś, że powinnam była skręcić w lewo...

- Ale nie mówiłem tego po to, żebyś jechała tyłem po jednokierunkowej ulicy!

Do diabła, nawet nie zauważyłam znaku ostrzegawczego, pomyślała, zmieniając biegi z takim zgrzytem, że sama się skrzywiła.

- Przepraszam - wymamrotała.
- Czy zdajesz sobie sprawę, że pacjent czeka na nas, a przez ten objazd...
- Przecież mówię, że przepraszam. Popełniłam błąd.

Tylko ta noc i jutrzejsza, pomyślała. Muszę przetrwać te dwie zmiany, a potem już nigdy więcej go nie zobaczę. Tylko jak wytrzymam te dwa dyżury, jeśli obawiam się, że nie dam rady znieść jego towarzystwa przez następną godzinę?

- Uważaj na skrzyżowaniach - rzekł Eli, kiedy wzięła zakręt ze zbyt dużą prędkością. - Teraz leży na nich ze trzydzieści centymetrów śniegu, a pod nim jest lód.

- Może chciałbyś poprowadzić? - warknęła.

- Może i powinienem, jeśli zamierzasz dalej postępować tak głupio - odrzekł, a ona ścisnęła kierownicę tak mocno, że aż zbieleły jej kostki dłoni.

On uważa mnie za głupią, pomyślała. No cóż, może i jestem głupia, bo zakochałam się w mężczyźnie, który ma mnie w nosie... no, chyba że mógłby zapisać na swoim koncie jeszcze jedną zdobycz. Jeśli któreś z nas ma prawo być w złym humorze, to właśnie ja, bo złamał mi serce. On szybko znajdzie sobie jakąś inną, a ja... Nie, muszę zapomnieć o smaku jego ust, o dotyku rąk...

- Przejechałaś obok jego domu - oznajmił Eli. - To Bread Street 22.

Dobrze o tym wiem, pomyślała z rozdrażnieniem. Przecież słyszałam, jak dyspozytorka mówiła: „Harry Wallace, dwadzieścia dziewięć lat, prawdopodobnie w stanie osłupienia katatonicznego. Jest z nim jego matka. Bread Street 22”, a teraz przejechałam obok jego domu, nawet nie zwracając na niego uwagi.

Musisz wziąć się w garść, poleciała sobie w duchu, zatrzymując ambulans pod wskazanym adresem i otwierając drzwi.

- Czy mam wziąć defibrylator... na wszelki wypadek? - zapytała.

- Do tej pory powinnaś już wiedzieć, że zawsze wszystko bierzemy ze sobą - odrzekł cierpko, wysiadając i idąc w stronę domu.

Im szybciej ona zniknie z mojego życia, tym lepiej, pomyślał ze złością. Im szybciej odejdzie z naszej bazy, tym prędzej zapomnę o niej i o jej irytujących zarzutach.

- Cieszę się, że już jesteście - powiedziała pani Wallace, otwierając im drzwi. - Mój syn, Harry, cierpi na psychozę depresyjno-maniakalną. Nie wiem, czy celowo nie wziął leków, czy zapomniał... - Rozłożyła bezradnie ręce. - Teraz siedzi tam, bez ruchu.

Eli i Bronté bezskutecznie próbowali nawiązać z Harrym kontakt.

- Czy tylko ten lek przyjmuje pani syn? - spytał Eli, biorąc z gzymsu kominka buteleczkę z tabletkami, a potem odstawiając ją na miejsce.

- Niestety, nie wiem - odparła kobieta. - Lekarz rozpoznał u niego tę chorobę prawie dziesięć lat temu. Od tej pory bierze tak dużo różnych tabletek... W jego szafce w łazience stoi mnóstwo buteleczek. W niektórych jest tylko kilka tabletek, a niektóre są pełne.

- Proszę mi je pokazać - powiedział Eli i wyszedł z panią Wallace z pokoju.

Bronté przygryzła wargę, dochodząc do wniosku, że nie da im wiele wiada o tym, jakie leki Harry Wallace ma w łazience. Natomiast ważne jest to, co bierze obecnie.

Szybko podeszła do kominka i wzięła buteleczkę z tabletkami. Tak jak przypuszczała, było na niej nazwisko lekarza pierwszego kontaktu. Pośpiesznie wyjęła z kieszeni telefon komórkowy i wycisnęła jego numer.

Oczywiście, lekarz nie był zadowolony z tego, że został obudzony o pierwszej w nocy, ale w końcu podał jej wykaz leków, jakie powinien brać Harry Wallace.

Bronté właśnie kończyła zapisywać ich nazwy na skrawku papieru, kiedy do pokoju wszedł Eli z panią Wallace.

- Z kim rozmawiasz? - spytał ją bezgłośnie, a ona odwróciła kartkę i napisała: „Z lekarzem rodzinnym”. Ku jej bezgranicznemu zdumieniu Eli wykonał ruch ręką przypominający podcinanie gardła. Najwyraźniej dawał jej do zrozumienia, że ma skończyć tę rozmowę. Ale ona nie chciała zachować się nieuprzejmie wobec lekarza, zwłaszcza że poprosiła go, by przyjechał na Bread Street.

- Bronté, skończ tę rozmowę - powiedział Eli, z trudem opanowując złość.

Bronté zacisnęła zęby. Rozumiem, że jest na mnie zły z przyczyn osobistych, ale ten prywatny antagonizm nie powinien wpływać na nasze sprawy zawodowe.

- Dziękuję za pomoc, doktorze Simpson - powiedziała, kończąc rozmowę, a potem odwróciła się do Elijaha. - Zaraz będzie tu lekarz rodzinny Harry'ego.

Mam spis leków, które powinien brać - oznajmiła, podając mu kartkę, a on uśmiechnął się uspokajająco do pani Wallace..

- Ponieważ nie wiemy, czy Harry zapomniał przyjąć swoje leki, czy też przez nieuwagę wziął ich więcej niż powinien, myślę, że najlepiej będzie, jeśli zawieziemy go do szpitala. Tam zbadają go specjaliści.

- Ale Eli, doktor Simpson już tu jedzie - rzekła z naciskiem Bronté, ale równie dobrze mogła mówić do ściany, bo Eli pomagał właśnie Harry'emu podnieść się z fotela.

- Jeśli chce pani pojechać z nami, pani Wallace, to bardzo proszę - powiedział Eli, prowadząc jej syna w stronę drzwi.

Co on, do licha, robi? - spytała się w duchu Bronté. Przecież doktor Simpson nikogo nie zastanie w domu...

Postanowiła, że kiedy odwiożą Harry'ego do szpitala, musi z Elim koniecznie porozmawiać.

Wyszli ze szpitala i wsiedli do karetki. Bronté ruszyła, skrzyła za róg ulicy i gwałtownie się zatrzymała.

- Żądam wyjaśnienia. I lepiej, żeby było przekonujące! - zawołała. - Rozumiem, że możesz być na mnie zły, ale to nie powinno wpływać na sposób traktowania pacjenta...

- Bronté...

- Byłeś wyraźnie na mnie zły, bo zdobyłam nazwy leków, które Harry Wallace bierze - przerwała mu, nie zadając sobie trudu, żeby ukryć wściekłość. - To ja zadzwoniłam do jego lekarza, nie ty, ale, do diabła, jakie to ma znaczenie?

- Bronté...

- I to ja przekonałam doktora Simpsona, żeby przyjechał do domu państwa Wallace'ów - przerwała mu ponownie. - A teraz on przyjedzie na marne, bo ty załadowałeś Harry'ego do ambulansu i oddałeś w ręce specjalistów!

- Skąd wiesz, że doktor Simpson przyjedzie? - spytał Eli ze spokojem, który omal nie sprowokował jej do wybuchu.

- Bo mi obiecał! Czy chcesz porozmawiać z nim sam, czy o to w tym wszystkim chodzi? Jesteś urażony, bo zadzwoniła do niego biurokratka od cyferek?

- Pominę to milczeniem. Pytam cię po raz drugi, jaki masz dowód na to, że doktor Simpson jest w drodze?

Spojrzała na niego w osłupieniu.

- O czym ty mówisz? Przecież dzwoniłam do niego...

- Bronté, my nigdy nie dzwoniemy do lekarzy pierwszego kontaktu z linii naziemnej ani z telefonu komórkowego. Zawsze prosimy pracowników Ośrodka Dyspozycyjnego, żeby się z kimś skontaktowali, bo wtedy rozmowy są rejestrowane, a to oznacza, że jeśli któryś z lekarzy obieca przyjechać do pacjenta, to na pewno przyjedzie.

- Ale...

- Mogliśmy więc czekać na niego do sądnego dnia, a on mógłby zaprzeczyć, że obiecał przyjechać.

Bronté zdała sobie sprawę, że Eli ma rację.

- Dlaczego mnie o tym nie uprzedziłeś? - spytała. - Gdybyś mi powiedział wcześniej...

- Skąd mogłem wiedzieć, że zrobisz coś tak głupiego?

- W porządku - wykrztusiła. - Ty wiesz wszystko, a ja jestem wiejskim półgłówkiem, więc w przyszłości będę jedynie prowadzić ambulans i tylko pytać: „Dokąd?”.

- Teraz naprawdę mówisz głupio.

Bronté nie odezwała się ani słowem. Uruchomiła silnik i ruszyła, ale nie ujechała zbyt daleko, bo odezwał się radiotelefon.

- Młody chłopak leży na ulicy i wydaje się nie oddychać. Jest z nim policjant.

Bronté gwałtownie wciągnęła powietrze na dźwięk słowa „chłopak”. Oby to nie był John Smith, błagała w duchu, pędząc ulicami i nie zważając na oblodzoną nawierzchnię jezdni. Eli tak bardzo starał się mu pomóc...

- Obawiam się, że nic nie da się już zrobić - oznajmił policjant, kiedy wysiedli z ambulansu. - Sądząc po temperaturze ciała, mogą powiedzieć, że nie żyje od paru godzin. Nie widzę żadnych śladów przestępstwa, więc przypuszczam, że to hipotermia, choć w tych okolicach może mieć to zwią-

zek z narkotykami. Ale to jeszcze dziecko - ciągnął, kiedy zbliżali się do leżącego w drzwiach sklepu chłopca.

Dlaczego to musiał być on? - spytała się w myślach Bronté, klękając obok Johna i dotykając jego zimnej ręki.

- Czy wyczuwasz tętno? - spytał Eli szorstko, a ona potrząsnęła głową.

- Nie - odparła przez ściśnięte gardło. - Eli... Ale on jej nie słuchał. Wziął Johna na ręce i zaniósł go do ambulansu.

- Jeśli ta pogoda prędko się nie zmieni, to niestety będzie więcej takich przypadków - powiedział policjant do Bronté.

- To prawda - mruknęła, idąc w stronę karetki. Usiadła za kierownicą i spojrzała na Elijaha.

- Co teraz? - spytała.

- Ruszajmy. Ludzie nas potrzebują...

- Tak, ale... - Przyjrzała się uważnie jego pobladłej twarzy. - Eli, myślę, że po dostarczeniu... Johna do szpitala powinniśmy na resztę dyżuru wziąć sobie wolne i się odprężyć.

- Nic mi nie jest.

- Nieprawda. Poza tym ja też nie czuję się najlepiej...

- Jeśli mówię, że nic mi nie jest, to nic mi nie jest! - wybuchnął z rozdrażnieniem.

Bzdura, pomyślała Bronté, ale nie miała okazji przekonać go, że to ona ma słuszność, bo kiedy tylko wyszli ze szpitala i wsiedli do karetki, rozległ się dźwięk radiotelefonu.

- Dwumiesięczne dziecko. Nie budzi się. Nicolson Street 108.

- Cholera! - mruknął Eli, a Bronté włączyła syrenę i pospiesznie ruszyła.

Wyglądało to na zespół nagłej śmierci niemowlęcia. Bronté myślała, że ten dyżur nie może przynieść im już nic gorszego niż zgon Johna. A jednak...

Kiedy wjechali w Nicolson Street, usłyszeli płacz dochodzący z domu numer 108, a to nie był dobry znak. Oznaczał, że prawdopodobnie zjawili się za późno. I tak też było. Jeden rzut oka na dziecko wystarczył, by zorientować się, że maleństwo nie żyje od pewnego czasu.

- Nic jej nie dolegało, kiedy kładłam ją do łóżka - powiedziała młoda matka, szlochając. - Naprawdę nic jej nie było. Czowała się dobrze, a teraz...

- Pracuję nocami - wyjaśnił mąż kobiety, ocierając łzy z policzków. - Zajrzałem do niej. Zawsze tak robię po powrocie do domu, a Jenny... Ona leżała... od razu zorientowałem się, że coś z nią jest nie tak.

Bronté spojrzała bezradnie na Elijaha, ale on trzymał już dziecko na rękach.

- Jedziemy do szpitala - oznajmił, idąc w kierunku drzwi, a zrozpaczeni rodzice niemowlęcia chwycili płaszcze i pobiegli za nim.

Bronté natychmiast ruszyła.

Kiedy odwieźli dziecko i jego rodziców na oddział ratownictwa, Bronté spojrzała z niepokojem na zmęczoną, bladą twarz Elijaha.

- Czy ty dobrze się czujesz? - spytała.

- Nic mi nie jest.

- Naprawdę uważam, że powinniśmy przerwać nasz dyżur - powiedziała niepewnie. - Musisz zrobić sobie wolne... oboje powinniśmy odpocząć, a...

- Bronté, pracuję w tym zawodzie znacznie dłużej niż ty - odburknął. - Nie potrzebuję niańki, więc zostaw mnie w spokoju, dobrze? - dodał, wsiadając do ambulansu.

Bronté zajęła miejsce kierowcy.

- Muszę napić się kawy - mruknął Eli.

- Ja też - wyszeptała, ruszając spod szpitala. Ale nie u Tony'ego, dodała w myślach. Każde z nas może wypić kawę u siebie w domu. Wracamy do bazy i bierzemy wolne na resztę zmiany, czy mu się to podoba, czy nie.

Eli wyjrzał przez okno.

- To nie jest najkrótsza droga do Tony'ego - stwierdził, spoglądając na nią.

- Wiem.

- Bronté...

- Nie jedziemy do Tony'ego, tylko wracamy do bazy - oświadczyła. - Żadnych ale, żadnych sprzeciwów, żadnych dyskusji - dodała pospiesznie, słysząc, że Eli przeklina.

- Ale...

- Taka jest moja decyzja, Eli - przerwała mu zdecydowanym głosem.

Zdawała sobie sprawę, że Elijah gotuje się ze złości, ale nie zamierzała mu ustąpić. Kiedy dojechali do ośrodka, wysiadł, zatrzasnął drzwi i odszedł.

- Zatem do zobaczenia jutro - zawołała, ale on nie odpowiedział.

Nigdy dotąd nie widziała go w takim stanie. Chciała za nim pobiec i powiedzieć mu, że czuje się podobnie, że go rozumie. Zrobiła krok do przodu i przystanąła.

Przecież masz trzymać go na dystans, upomniała się w duchu. Ale on jest taki smutny. Poza tym co się stanie, jeśli spytam go, czy nie wolałby zjeść czegoś w moim towarzystwie, zamiast wracać do pustego mieszkania?

Zanim zdała sobie sprawę, ruszyła za nim biegiem.

- Zapraszasz mnie do siebie na posiłek? - spytał, kiedy go dogoniła.

- Po prostu pomyślałam... to była okropna noc... że może potrzebujesz towarzystwa-powiedziała, czując, że jej policzki płoną pod wpływem jego wzroku. – To nie będzie nic wyszukanego, tylko to, co mam w lodówce, ale jeśli chcesz...

Myślała, że Eli odmówi, ale ku jej zaskoczeniu kiwnął głową.

- Stawiam jednak dwa warunki. Po pierwsze, ja odwiozę cię do domu, a po drugie, pojedziemy do Tony'ego, żeby kupić klopsiki w sosie i makaron. Wtedy nie trzeba będzie niczego gotować.

Kiedy rozpakowała dania w swojej niewielkiej kuchni, poczuła ich wspaniałą zapach.

- Co chcesz do picia? - zapytała, wydając z szafki dwa talerze. - Mam pół butelki czerwonego wina, kawę, herbatę...

- Kawę, bo prowadzę - odrzekł.

- Co wolisz, wygodne miejsca do siedzenia w salonie czy twarde krzesła w kuchni? - spytała, włączając czajnik.

- Jak zawsze, wygodne miejsca - oświadczył, a kiedy wszedł za nią do salonu, rozejrzał się wokół siebie i powiedział z uśmiechem: - Ładny pokój.

- Mieszkanie wynajmuję, ale wszystkie meble są moje - oznajmiła, stawiając pojemniki z jedzeniem i talerze na niskim stoliku. - Nie są cenne. Kupiłam je na giełdzie rzeczy używanych. Przepraszam cię na chwilę. Pójdę zobaczyć, czy woda się zagotowała. Nie czekaj na mnie, tylko jedz.

Kiedy wróciła do salonu, Eli siedział zamyślony. Wydawał się kompletnie wyczerpany.

- Chyba powiedziałam ci, że możesz zaczynać jeść beze mnie - powiedziała pogodnym tonem.

- Przepraszam. Po prostu się zamyśliłem.

- To nie myśl, tylko jedz.

- Dobrze, proszę pani - odrzekł z uśmiechem. Bronté pospiesznie chwyciła widelec i nóż, wiedząc, że jeśli tego nie zrobi, to zarzuci mu ręce na szyję.

- Dobre klopsiki - wymamrotała.

- Tak. Zastanawiałem się... Jutro masz ostatni dyżur, więc...

- Możesz powiedzieć kolegom, że wystawię waszej bazie pozytywną opinię - przerwała mu, a on potrząsnął głową.

- Nie o to mi chodzi. Zastanawiałem się, co zamierzasz dalej robić. Czy chcesz zostać na tej posiadzie, czy...?

- Chyba ustaliliśmy, że się do tego nie nadaję - odparła z uśmiechem - więc razem ze sprawozdaniem wręczę mojemu szefowi swoją rezygnację.

Oboje milczeli przez dłuższą chwilę.

- Czy odjęło ci mowę?

- Nie - odrzekła. - Po prostu smakuje mi jedzenie. Jak mawiała moja matka...

Ugryzła się w język, zdając sobie sprawę, że to nie jest dobry temat. Eli wyraźnie wyczuł jej zakłopotanie i uśmiechnął się do niej cierpko.

- Powiedziałaś, że powinienem pójść do biura osób zaginionych i próbować odnaleźć moją matkę...

- Przepraszam, nie powinnam była ci tego sugerować. W pełni rozumiem, dlaczego nie chciałeś skorzystać z mojej rady.

- Zrobiłem to dwa lata temu, bo pomyślałem... - Westchnął. - Właściwie nie wiem, o czym pomyślałem. Może chciałem spytać ją wprost, dlaczego mnie zostawiła.

- Czy... udało ci się ją odnaleźć?

- Spóźniłem się, bo umarła sześć miesięcy wcześniej - odparł z posepną miną.

- Och, Eli, tak bardzo jest mi przykro.

- Nigdy nie dowiem się, dlaczego mnie zostawiła, bo zabrała tę tajemnicę do grobu - mruknął.

Bronté dostrzegła w jego oczach wyraz bólu, który pragnęła złagodzić, ale nie wiedziała, jak to zrobić.

- No cóż, przepraszam - dodał. - Zepsułem ci kolację.

- Pochlebia mi, że wyznałeś to właśnie mnie. A teraz jedz, zanim ten doskonały sos zupełnie wystygnie.

Kiedy zaczęli jeść, Bronté przyłapała się na tym, że całą uwagę skupia na Elijahu. Ilekroć odgarniał włosy z czoła, myślała: „Pozwól mi to zrobić. Chcę tego”. Za każdym razem, gdy się poruszył, ona sztywniała, spoglądając na niego z nadzieją.

- Czy coś jest nie w porządku? - spytał wreszcie, podnosząc wzrok.

- Nie... absolutnie nie - odparła przesadnie pogodnym tonem. Potem nałożyła sobie na widelec zbyt dużą porcję makaronu i poplamiała sosem bluzkę.

- Ależ z ciebie niezdara - zażartował Eli, wybuchając śmiechem. - Nie, nie wstawaj, bo wszystko spadnie na dywan.

Zanim uświadomiła sobie, co zamierza zrobić, chwycił serwetkę i zaczął ścierać sos z jej bluzki. Dotyk jego rąk był dla niej torturą. Nagle oboje wstrzymali oddech.

- Myślę... - zaczął Eli, a potem odchrząknął. - Myślę, że znów wyglądasz przyzwoicie.

Bronté spojrzała mu w oczy.

- Naprawdę? - spytała lekko drżącym głosem. Eli zgniótł serwetkę w kulkę.

- Nie powinienem był tego robić. Myślę... że już pójdę.

Bronté chciała, by został. Pragnęła go i w tej chwili nie miało już dla niej znaczenia, czy spędzi z nim tylko jedną noc. Nie miało też znaczenia, czy powie jej to samo, co dziesiątkom innych kobiet. Liczyło się jedynie to, że go pragnęła.

- Nie musisz iść - powiedziała, a on wstał i potrząsnął głową.

- Bronté, muszę. Chcesz więcej, niż mogę ci zaoferować, i dobrze o tym wiesz. Zaslugujesz na coś lepszego.

Zanim zdążył się zorientować, Bronté położyła dłonie na jego ramionach.

- Pragnę cię, Eli - wyszeptała. - Żadnych zobowiązań, żadnych obietnic, po prostu cię pragnę.

- Bronté...

Zamknęła mu usta pocałunkiem, a on wahał się przez ułamek sekundy, a potem objął ją i mocno przytulił do siebie. Czowała w całym ciele pulsujący żar, a kiedy Eli wyciągnął jej bluzkę ze spodni i wsunął pod nią rękę, zadrżała z pożądania.

- Bronté, zastanów się, czy tego chcesz - jęknął, gdy zaczęła rozpinąć jego koszulę, całując go równocześnie w szyję.

- Już to zrobiłam - mruknęła, podziwiając piękno jego torsu. - I nigdy w życiu nie byłam niczego tak pewna.

Gdy zerwał z niej biustonosz i ujrzał na jej piersi rzucającą się w oczy bliznę, gwałtownie wciągnął powietrze.

- Mógłbym zabić człowieka, który ci to zrobił - wycedził przez zęby. Ale kiedy instynktownie chciała zasłonić się rękami, przyciągnął je do siebie i

ucałował kolejno obie jej dłonie. - On cię zranił i przestraszył, a ja nie chcę, żebyś kiedykolwiek cierpiała lub się bała.

Zranisz mnie znacznie bardziej, kiedy odejdiesz, pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos.

- Po prostu kochaj się ze mną, Eli. Tylko tego teraz chcę i potrzebuję.

TLR

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Niedziela, 9:30

Eli otworzył oczy i z uśmiechem spojrzał na leżącą obok niego Bronté. Jej głowa spoczywała na jego ramieniu, więc delikatnie pocałował ją w czoło, a potem mocno objął.

Spędził dzięki niej najbardziej zachwycającą noc swojego życia. Kochali się dwukrotnie i dwukrotnie przeżył rozkosz spełnienia, ale ten drugi raz... Ten drugi raz był po prostu fantastyczny. Mniej gorączkowy i pospieszny, ale bardziej satysfakcjonujący. Czuł się niemal tak, jakby po długiej nieobecności wrócił do domu, co oczywiście było absurdem, bo przecież nie miał pojęcia, co to jest normalny dom.

Bronté zaprowadziła go w miejsca, w których nigdy dotąd nie był i których za żadne skarby nie chciał opuścić. Ani teraz, ani nigdy.

Jakby czytając w jego myślach, przeciągnęła się leniwie, lekko przywierając piersiami do jego klatki piersiowej i budząc w nim nowy odruch pożądania.

Potem otworzyła oczy.

- Dzień dobry, śpiochu - powitał ją z uśmiechem. Przez sekundę wydawała się tak zdezorientowana, jakby nie wiedziała, gdzie jest. Spojrzała na niego łagodnie, a potem odwróciła nagle wzrok, on zaś poczuł niewytłumaczalny chłód.

- Która godzina? - spytała z wystudiowaną obojętnością, a on podświadomie potrząsnął głową, jakby chcąc odpędzić od siebie podejrzenia, które musiały być przecież produktem jego wyobraźni. Wiedział, że Bronté nie była zawiedziona przebiegiem minionej nocy. Do tej pory brzmiały mu w uszach jej ciche okrzyki, jęki i westchnienia.

- Wpół do dziesiątej - odparł. - To znaczy, że mamy cały dzień wolny, bo zaczynamy pracę dopiero wieczorem. Możemy robić, co nam się spodoba, a ja mam dla ciebie kilka interesujących propozycji. Na przykład...

Wyciągnął rękę i położył dłoń na jej piersi. Poczł, że zareagowała, ale kiedy chciał ją dalej pieścić, Bronté wysunęła się z jego objęć.

- Niestety mam już rozplanowany cały dzień - powiedziała nienaturalnie rzeczowym tonem. - Muszę załatwić kilka spraw i napisać sprawozdanie dotyczące bazy ED7.

- Jeśli wybierasz się na zakupy, mogę za tobą nosić torby, a jeśli idzie o sprawozdanie, to też przyda ci się moja pomoc.

Chciał pogłaskać ją po policzku, ale ona odwróciła głowę.

- Nie możesz mi pomóc - oznajmiła. - To, co mam zrobić, muszę zrobić sama.

- W porządku. - Kiwnął głową, zmieniając szybko taktykę. - Może więc przez cały dzień będę cię wspomagał kawą, a potem zrobię wspaniały lunch i równie dobrą kolację? Musisz przecież coś jeść, a ja jestem dobry nie tylko w sypialni, lecz również w kuchni, więc skorzystaj z okazji, którą zesłał ci łaskawy los.

- Dzisiejszy dzień nie jest dla mnie dogodny, Eli - mruknęła, unikając jego wzroku. - Mam plany, których nie mogę zmienić.

- W takim razie umówmy się na jutro... lub na pojutrze - zaproponował, czując w sercu ukłucie niepokoju. - Będę miał trzy wolne dni, bo kończę

dzisiaj siedmiodniowy cykl dyżurów, a skoro ty zamierzasz złożyć rezygnację, moglibyśmy wspólnie zrobić jakieś głupstwo.

Nie zaśmiała się ani nawet nie uśmiechnęła, a on zauważył, że nadal nie patrzy mu w oczy.

- Prawdę mówiąc, zamierzałam pojechać na kilka dni do mojej siostry.

- Ależ Bronté, przecież ty nie lubisz swojej siostry - zaproponował, a ona wzruszyła ramionami.

- No cóż, mimo wszystko jest moją krewną. Gdyby miał do czynienia z kimkolwiek innym, pomyślałby, że zostaje brutalnie odepchnięty. Ale to była Bronté. Bronté, która nie miała w sobie cienia przewrotności i nie igrała z uczuciami innych ludzi. Doszedł więc do wniosku, że wina musi leżeć po jego stronie. Usiadł na łóżku, przykrywając ją kołdrą, by nie było jej zimno.

- Posłuchaj mnie... Nie wiem, czym ci się naraziłem...

- Nie zrobiłeś nic złego - przerwała mu pospiesznie. - Wszystko było wspaniałe, po prostu wspaniałe, ale ja odchodzę dzisiaj z bazy ED7.

- Przecież to nie znaczy, że nie możemy się widywać - zaprotestował. - To nie oznacza końca naszej znajomości.

Zauważył, że Bronté nerwowo zaciska palce.

- Eli, wczorajsza noc była dla mnie cudownym i wspaniałym przeżyciem, ale czy nie możemy uznać całej sprawy za zamkniętą?

- Za zamkniętą? - powtórzył z niedowierzaniem. - Bronté, może tego nie pamiętasz, ale kochaliśmy się, więc moglibyśmy przynajmniej o tym porozmawiać. Wiem, że musiałem cię w jakiś sposób dotknąć...

- Wcale nie. Tak jak powiedziałeś mi to wcześniej - ciągnęła nie pozwalając sobie przerwać - istnieje seks mierny, niezły i wspaniały. Ponie-

waż ostatniej nocy był on całkiem dobry, uważam, że powinniśmy podać sobie ręce, życzyć sobie nawzajem powodzenia i pójść własnymi drogami.

Eli był innego zdania. Chwycił palcami jej podbródek i zmusił ją, by spojrzała mu w oczy.

- Bronté, rozmawiaj ze mną. Oszczędź mi tych wszystkich komunałów, tych wszystkich bredni. Po prostu rozmawiaj ze mną.

- Zrobiłabym to, gdyby było o czym - odparła, nerwowo odwracając głowę. - Spędziliśmy wspaniałą noc. Czy nie możesz przyjąć do wiadomości, że na tym koniec? No dobrze, czy chcesz iść pierwszy pod prysznic? Nie zamierzam cię poganiać. Nie chciałabym, żebyś czuł się tak, jakbym cię wyrzucała, ale...

Ale to robisz, pomyślał. A ja tego nie chcę. Pragnę cię przytulać... Niekoniecznie znów się z tobą kochać, choć nie odmówiłbym. Po prostu chcę trzymać cię w ramionach i - tak jak ostatniej nocy - poczuć, że należę do ciebie.

- Bronté...

- Więc czy bierzesz prysznic pierwszy, bo tak jak mówiłam, mam...

- Sprawy do załatwienia, spotkania z ludźmi, no i musisz napisać sprawozdanie - dokończył za nią posępnym tonem. - Świetnie. Po prostu znakomicie. - Odrzucił kołdrę i wstał. - Czy przed wyjściem dostanę filiżankę kawy, czy to też zakłóci twój napięty harmonogram?

- Wiesz, gdzie jest kuchnia - odparła Bronté, odwracając się, więc Eli widział tylko jej nagie plecy.

Dobrze, po prostu świetnie, pomyślał ze złością. Jeśli tego właśnie chcesz...

Wyszedł z sypialni, zatrzasnąwszy za sobą drzwi, a Bronté ukryła twarz w poduszce, żeby nie mógł usłyszeć jej płaczu.

- Nikogo nie widzę - oznajmiła, kiedy skręciła w Richmond Street. - Dyspozytorka powiedziała, że starsza kobieta leży na ulicy, ale ja nikogo nie widzę.

- Jedź do końca ulicy, a potem zawróć - polecił jej Eli.

Postanowiła, że przez całą ich zmianę będzie radosna i nastawiona optymistycznie, nawet jeśli miałyby to ją zabić. Zgodnie z jego poleceniem dojechała do końca Richmond Street, a potem zawróciła.

- No, chyba że jest kobietą niewidzialną - powiedziała. - Albo wyparowała...

- Ktoś do nas macha sprzed tamtego domu - zawołał nagle Eli. - Zatrzymaj się na poboczu.

Bronté posłusznie wykonała jego polecenie.

- Czy szukacie kobiety, która się przewróciła? - spytał Hindus, podchodząc do ambulansu.

Bronté kiwnęła głową.

- Ona jest w moim domu. Wiem, że nie powinno się ruszać kogoś, kto doznał obrażeń - dodał, widząc, że Eli bierze głęboki oddech - ale jest tak zimno, a moja żona, Indira, powiedziała, że nie możemy zostawić jej leżącej na śniegu i tak cierpiącej. A propos, nazywam się Shafi.

- To bardzo miło z państwa strony, panie Shafi - oznajmiła pośpiesznie Bronté zanim Eli zdołał się odezwać. - Czy może pan nam coś o niej powiedzieć? - ciągnęła, sięgając po torbę lekarską.

- Nazywa się Violet Swanson - odrzekł mężczyzna, prowadząc ją w kierunku domu. - Biedaczka... Była w kościele, żeby się pomodlić. Kiedy wracała, pośliznęła się na śniegu. Indira podejrzewa, że mogła złamać sobie rękę.

Istotnie Violet Swanson złamała rękę i bardzo cierpiała.

- Zachowałam się idiotycznie - wyszeptała pani Swanson. - Zrobiłam coś tak okropnie głupiego. Wiem, że powinnam była zaczekać i pójść do kościoła rano, ale wieczorem jest tam tak spokojnie.

- Będzie pani musiała pojechać z nami do szpitala - oznajmił Eli. - Przykro mi, ale jest to konieczne - dodał, kiedy Violet Swanson zaczęła się sprzeciwiać.

- Rękę trzeba prześwietlić i zagipsować. Czy jest ktoś, kogo chciałaby pani zawiadomić, dokąd panią zabieramy?

- Jestem wdową, mój drogi - odparła pani Swanson, krzywiąc się z bólu, kiedy Bronté zaczęła bandażować jej rękę. - Nie mam rodziny. Nie było nam dane mieć dzieci, ale nie zawsze od życia dostajemy to, czego chcemy.

To prawda, pomyślała Bronté, unikając wzroku Elijaha. Ta noc była najcudowniejsza w moim życiu, ale na tym koniec. Tylko jedna noc. Jedna niezwykła noc, którą będę zawsze pamiętać. Będę wspominać ją z pewnym bólem, bo zdaję sobie sprawę, że Eli jest mężczyzną, którego pragnę, ale którego nigdy nie będę miała. I lepiej jest skończyć to teraz, niż żyć z nim przez dwa miesiące, a potem cierpieć, że odszedł. Bo tego bym nie przeżyła.

- Czy pani może chodzić? - spytała panią Swanson. - Bo mamy specjalny fotel...

- Oczywiście, że mogę - oznajmiła Violet, ale wstając, zachwiała się, więc było jasne, że trzeba będzie zanieść ją do ambulansu.

- Dziękujemy za pomoc - powiedziała Bronté do państwa Shafi.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Co innego mogliśmy zrobić? Przecież nie można było jej zostawić.

Kiedy załadowali panią Swanson do karetki, Bronté ruszyła w kierunku szpitala.

- Szkoda, że na świecie nie ma więcej takich ludzi jak państwo Shafi - powiedziała Bronté, gdy dostarczyli panią Swanson na oddział ratownictwa. - Ludzi, którzy zawsze są gotowi pomóc innym.

- Szczerze mówiąc, niektórzy wolą trzymać się na uboczu - stwierdził Eli. - Nie chcą okazać swojej dobroci, żeby inni ich nie wykorzystywali.

Tak jak ja, przyznał w duchu, patrząc na Bronté, która wsiadała do karetki. To ja zawsze miałem kontrolę nad swoimi związkami, to ja zawsze decydowałem o ich końcu, a tym razem...

Po raz pierwszy w życiu czuł się kompletnie zagubiony. Po raz pierwszy w życiu nie wiedział, co robić. Zastanawiał się, czy nie porozmawiać z Bronté ponownie. Może powinien poczekać do końca ich zmiany i z nią pogadać... Ale co wówczas jej powie? Że nie chce, by zniknęła z jego życia? Że chce spędzać z nią znacznie więcej czasu? Że tęskni za jej srebrzystoszarymi oczami i za sterczącą grzywką? Że tęskni za nią...?

W tym momencie odezwał się radiotelefon.

- Dwudziestoletni mężczyzna zasłabł i zwija się z bólu. Bristol Street 82.

Bronté ruszyła Melrose Street.

- Żeby dojechać na Bristol Street, skreć na końcu ulicy w lewo - poradził jej Eli.

Kiedy wykonała jego polecenie, ujrzała rząd eleganckich budynków w stylu króla Jerzego.

- Ojej, cóż za olśniewające domy - rzekła z podziwem. - Nie byłoby mnie stać na zamieszkanie w tej dzielnicy, nawet gdybym zarabiała sto razy więcej niż teraz.

- Za pieniądze nie kupisz szczęścia - stwierdził Eli.

Choć wewnątrz domu numer osiemdziesiąt dwa prezentowało się równie okazale jak jego fasada, nie panował w nim bynajmniej miły nastrój.

- Czy jesteście z pogotowia? - spytał bełkotliwie młody mężczyzna, otwierając im drzwi.

- Tak, jesteśmy z pogotowia. - Eli westchnął. -Gdzie jest poszkodowany?

Młody człowiek machnął ręką z roztargnieniem.

- Chyba w jadalni. Albo może w salonie. Prawdę mówiąc, nie wiem.

- Wspaniale - mruknął Eli, przechodząc obok niego.

- Miejmy nadzieję, że ktoś w tym domu jest w na tyle dobrej formie, żeby odpowiedzieć nam na kilka pytań.

Bronté bardzo w to wątpiła. Było jasne, że potomek państwa domu postanowił wydać przyjęcie. Dobiegały dudniące dźwięki muzyki i wybuchy śmiechu, wszędzie porozrzucane były resztki jedzenia i puste butelki.

- Ciekawe, gdzie są rodzice? - spytała Bronté, idąc za Elijahem po wyłożonej parkietem podłodze przedpokoju i czując, że przy każdym kroku jej buty się do niego przyklejają.

- Na zimowym rejsie wycieczkowym, na polowaniu w górach albo na wystawie sztuki w Londynie - zasugerował Eli, a Bronté potrząsnęła głową.

- Chyba są zbyt rozsądni, żeby wyjechać i zostawić grupę młodzieży bez nadzoru. Więc co zrobimy? Przeszukamy wszystkie pokoje?

Nie musieli tego robić, bo w tym momencie pojawiła się jakaś najwyżej osiemnastoletnia dziewczyna. Na jej twarzy malował się lęk i niepokój.

- Gavin jest tam - oznajmiła, pokazując drzwi znajdujące się na końcu korytarza. - Zachowuje się bardzo dziwnie i plecie coś bez sensu.

Bronté nie była zaskoczona, kiedy ujrzała młodego człowieka. Leżał na kanapie w pozycji embrionalnej, trzymając się za brzuch i jęcząc z bólu.

Jego źrenice były nienaturalnie pomniejszone, skóra mokra od potu, a wargi i paznokcie niebieskawe. Wstrząsały nim silne drgawki.

- Co on wziął? - spytał Eli, pochylając się nad chłopakiem.

- Wypił kilka piw, może ze dwie szklanki whisky - odparła dziewczyna, a Eli parsknął z irytacją.

- Niech pani nie traktuje mnie w taki sposób, jakbym był kompletnym idiotą. To mi wygląda na zatrucie ecstasy albo heroiną.

- Gavin nie jest narkomanem - zaprotestowała dziewczyna. - Po prostu trochę za dużo wypił.

- Panienko, on przecież nie wie, gdzie jest ani jak się nazywa, a poza tym alkohol nie wywołuje takich drgawek. Więc pytam jeszcze raz: co on wziął?

- Eli, on ma strasznie niskie ciśnienie i ledwo wyczuwalne tętno - szepnęła Bronté, która tymczasem założyła chłopcu na ramię opaskę ciśnieniomierza. - Musimy go zaintubować. I to jak najszybciej.

- Czy słyszysz? - spytał Eli dziewczynę, która spojrzała na kolegę z przerażeniem.

- Ja... nic nie wiem - wymamrotała niepewnie.

- Powiedz mi, jak masz na imię - zażądała Bronté, widząc, że Eli bezradnie potrząsa głową.

- Joanna. Mam na imię Joanna - odparła drżącym głosem.

- Joanno, Gavin jest w bardzo ciężkim stanie i może umrzeć - powiedziała Bronté. - Żeby go uratować, musimy wiedzieć, co zażył. Nie jesteśmy tu po to, żeby go osądzać. Chcemy mu pomóc.

- Moi rodzice mnie zabijają - wyszeptała Joanna. - Nie powiedziałam im o tym przyjęciu, a kiedy dowiedzą się prawdy...

Bronté dostrzegła kątem oka, że Eli zaczyna intubować Gavina, chcąc ułatwić mu oddychanie.

- Joanno, czy on miał coś w rodzaju ataku apopleksji? - zapytała.

- Apopleksji? - powtórzyła dziewczyna.

- Czy stracił świadomość i rzucał się nieprzytomnie? - sprecyzowała Bronté.

Dziewczyna kiwnęła głową.

- Tak. Jakies pół godziny temu.

- Joanno, proszę cię - zaczęła Bronté łagodnym tonem. - Musimy wiedzieć, co on wziął, zanim będzie za późno.

Dziewczyna przygryzła wargę, a potem głęboko wciągnęła powietrze.

- Heroinę - wyszeptała. - Wziął trochę heroiny.

- Czy wiesz, jak dużo? - spytała Bronté, a Joanna potrząsnęła głową.

- Brendan... powiedział mu, że po tym poczuje się bosko. Gavin był w dołku. Jego rodzice przestali dawać mu kieszonkowe, bo rozbił mercedesa ojca. A to miało go trochę ożywić.

Eli mruknął pod nosem jakieś niecenzuralne słowo.

- Jak często zażywał heroinę? - zapytał.

- Myślę, że to było po raz pierwszy, ale nie jestem tego pewna. Naprawdę nie wiem.

- Bronté, jego ciśnienie jeszcze bardziej spada -oznajmił Eli. - Musimy jechać.

Bronté pomogła mu zaprowadzić Gavina do ambulansu.

- Czy myślisz, że on z tego wyjdzie? - spytała, kiedy odwieźli chłopca do szpitala.

- Możemy jedynie mieć taką nadzieję — odrzekł Eli. - Ale marnowanie sobie życia w ten sposób...

- Wiem - przerwała mu, wzdychając. - Mimo wszystkich tych pieniędzy, wszystkich korzyści płynących z posiadania bogatych rodziców zachowują się jak głupcy!

- Tak. No cóż, niestety, nawet za wszystkie pieniądze świata nie kupisz sobie zdrowego rozsądku. - Eli zerknął na zegarek i westchnął. - Czy dasz wiarę, że jesteśmy na dyżurze dopiero od dwóch godzin?

To niemożliwe, pomyślała Bronté. Ta zmiana wydaje się nieskończenie długa.

W tym momencie odezwał się radiotelefon.

- Walka gangów w parku przy Princes Street. Policja jest już na miejscu. Wszystkie wolne ambulanse mają tam się stawić. Powtarzam, wszystkie wolne ambulanse mają tam się stawić i udzielić pomocy poszkodowanym.

Bronté poczuła ucisk w żołądku. Walka gangów oznacza, że będzie musiała wmieszać się w tłum ludzi, by pomóc poszkodowanym...

- Bronté... - zaczął Eli z niepokojem, a ona wciągnęła głęboko powietrze, ale to wcale jej nie pomogło.

- Nic mi nie jest - skłamała, starając się opanować drzenie głosu. - Wszystko będzie dobrze - dodała, uruchamiając silnik.

Ale doskonale wiedziała, że to nieprawda. Na samą myśl o tym, że znajdzie się w tłumie ludzi, jej serce zaczęło bić w przyspieszonym tempie, a dłonie pokrył zimny pot.

Zaczęła się zastanawiać, co myśli o niej Eli. Pewnie że jest kulą u nogi. Że musi pracować z kulą u nogi.

Więc dobrze, przynajmniej szybko dostarczę go na miejsce, postanowiła w duchu. Wtedy nie będzie mógł zarzucić mi, że rozmyślnie marudzę.

Okazało się jednak, że łatwiej jest coś postanowić, niż wykonać.

- Posłuchaj, Bronté, zdaję sobie sprawę, że nie chcesz tam być, że wkurza cię tłum ludzi, ale czy nie mogłabyś jechać trochę szybciej? - powiedział łagodnym tonem, a ona spojrzała na niego bezradnie.

- To nie moja wina, że jedziemy tak wolno. Wciskam pedał gazu do dechy, ale silnik traci moc. Nie mam pojęcia, dlaczego tak się dzieje.

- Samochód jest po prostu stary i zdezelowany.

- Co chcesz, żebym zrobiła? - spytała. - Nie będzie z nas wielkiego pożytku. Nie możemy przecież wieźć rannych do szpitala z tą prędkością. Poza tym co zrobimy, jeśli zepsuje się w drodze do szpitala, a my będziemy przewozić kogoś poważnie rannego?

Eli przygryzł wargę, a potem podjął decyzję.

- Podjedź do miejsca wypadku najbliżej, jak możesz. W ten sposób przynajmniej ja im się do czegoś przydam, pomogę innym ratownikom.

Kiedy dotarli do parku, ujrzeli nie tylko rząd zaparkowanych samochodów policyjnych i ambulansów, ale też gromadę bijących się wyrostków.

- Zostań tutaj - polecił jej Eli, biorąc torbę lekarską. - Kiedy wysiądę, zablokuj wszystkie drzwi, zawiadom dyspozytorkę, że mamy kłopot z naszym samochodem i nie ruszaj się stąd na krok.

- Ale...

Eli otworzył drzwi i wysiadł, zanim zdążyła coś powiedzieć. Przez krótką chwilę widziała, jak przepycha się przez tłum walczących ze sobą młodych ludzi, górując nad nimi wzrostem, a potem zniknął jej z oczu. Nagle zrobiło jej się niedobrze.

Nigdy dotąd nie była tak bardzo przerażona. Przez przednią szybę widziała rywalizujące ze sobą gangi. Niektórzy z wyrostków ściskali w rękach kamienie, inni byli uzbrojeni w drewniane kije, które bez wątplenia wyrwa-

li z ogrodzenia parku, a jeszcze inni posługiwali się własnymi pięściami. Co jakiś czas dostrzegała w księżycowej poświacie błysk metalu, co oznaczało, że niektórzy z nich mają noże.

Bijatyka przybliżała się stopniowo do miejsca, w którym stał ich samochód. Od czasu do czasu któryś z walczących wpadał na ambulans, który zaczynał się chybotać, a ona widziała przed sobą rozjuszony twarze i słyszała głośne krzyki.

Zasłoniła uszy dłońmi i zwinęła się w kłębek na siedzeniu kierowcy, ale to nic jej nie pomogło. Wciąż dochodziły do niej głośne przekleństwa, wycia i wrzaski. Miała ogromną ochotę wrzucić wsteczny bieg i odjechać, ale wiedziała, że nie może tego zrobić ze względu na Elijaha, który gdzieś w tym chaosie mógł potrzebować jej pomocy. Tylko że ona nie była w stanie nic zrobić. Mogła tylko siedzieć w samochodzie z zamkniętymi oczami i czekać.

Nagle usłyszała odgłos rozbijającej się o przednią szybę karetki butelki i wpadła w panikę. Kątem oka zobaczyła młodego chłopca, który leżał obok żywoplotu. Miał ziemistą cerę, zamknięte oczy i nie wyglądał na wiele starszego od Johna Smitha. Na jego czole dostrzegła czerwone plamy i krew kapiącą z palców ręki na śnieg.

Zrozpaczona jego stanem, zaczęła przyglądać się bijatyce w poszukiwaniu jakiegoś ratownika. Wiedziała, że jeśli zwróci jego uwagę na ранego chłopca, to może uda się go uratować. Ale niestety, widziała tylko walczących ze sobą wyrostków. Krew sącząca się z ręki chłopca utworzyła kałużę, a jego twarz jeszcze bardziej poszarzała. Zdała sobie sprawę, że jeśli nikt nie udzieli mu pomocy, może umrzeć.

Gdzieś z odległości dobiegł do niej krzyk. Przygryzła wargę tak mocno, że poczuła smak krwi. Gdyby była przy Johnym, gdy umierał, mogłaby go uratować...

Ale teraz jest tutaj, a ten młody chłopiec leży tak blisko ambulansu i jej potrzebuje. Gdyby tylko zdobyła się na odwagę, mogłaby mu pomóc. Trzęsącymi się rękami chwyciła torbę lekarską i głęboko odetchnęła.

- Mogę to zrobić - mruknęła do siebie. - Muszę to zrobić - dodała i choć jej serce waliło jak szalone,; otworzyła drzwi i wysiadła.

Do diabła, gdzie ona jest? - spytał się w duchu Eli, obserwując niemal już całkiem wyludniony park. Przecież kazałem jej siedzieć w ambulansie. A może przeraziła się do tego stopnia, że pobiegła, gdzie oczy ją poniosły? To znaczyłyby, że może być wszędzie.

- Czy nie widziałeś Bronté O'Brian? - spytał jednego z ratowników, który przechodził właśnie obok niego. - Niedużego wzrostu, o złocistobrązowych włosach i dużych szarych oczach.

Ratownik potrząsnął głową.

- Człowieku, wątpię, czy w tym tłumie byłbym w stanie rozpoznać własną matkę. Może widział ją któryś z gliniarzy.

Eli kiwnął głową, a potem podszedł szybkim krokiem do grupy policjantów, którzy stali obok ogrodzenia. Jeden miał podbite oko, inny rozdarty mundur, a jeszcze inny paskudnie rozciętą wargę.

- Szukam mojej koleżanki - oświadczył Eli. - Jest niewysoka, ma krótkie złocistobrązowe włosy i duże szare oczy. Czy może któryś z was ją widział?

- Trudno powiedzieć - odparł policjant z podbitym okiem. - Może odjechała którymś ambulansem.

Istnieje taka możliwość, ale niewielka, pomyślał Eli, a kiedy odwrócił się, by odejść, policjant z rozciętą wargą nagle zmarszczył czoło.

- Mówi pan, że ona jest drobna? I ma krótkie brązowe włosy, tak?

- Tak - potwierdził Eli z przejęciem. - Czy wie pan, gdzie ona jest?

- Jeśli to ta sama kobieta, o której pan mówi, to niestety, została ranna nożem. Na pierwszy rzut oka wyglądało to dość poważnie.

Eli poczuł ucisk w piersi.

Została ranna nożem... dość poważnie, powtórzył w duchu. Nie, to niemożliwe. Jeśli doznała ciężkich obrażeń, jeśli... Nie, nie wolno mi tak myśleć. Muszę ją odnaleźć...

- Czy możecie zawieźć mnie do szpitala? - spytał.

- Oczywiście - odrzekł policjant z podbitym okiem. - Do którego?

Do Pentland czy Waverley? - spytał się w myślach, ale nie był w stanie odpowiedzieć na to pytanie, bo jego mózg nie pracował. Oczami wyobraźni widział leżącą na śniegu Brontë, która była blada jak ściana i zimna...

Nagle zdał sobie sprawę, że nigdy nie usłyszy od niego tego, co chce jej powiedzieć. Że to trudne do zdefiniowania uczucie, którego doznawał w jej obecności, jest miłością. Miłością, która według niego nie istniała. Czymś, co odrzucał przez minione trzydzieści cztery lata, a czego nie chciał teraz stracić. Po prostu nie mógł...

- Hej, czy nic panu nie jest? - zawołał policjant, kiedy Eli zakrył dłonią oczy.

- Nie, nic... wszystko w porządku - odrzekł Eli. - Czy możemy już jechać?

- Oczywiście - odparł policjant.

Kiedy Eli odwrócił się i ruszył za nim, dostrzegł wychodzącą z parku kobietę, której włosy obcięte na chłopaka sterczały do góry, a na policzku widoczna była krwawa plama. Wydawała się wyczerpana.

Zanim zdał sobie z tego sprawę, ruszył biegiem w jej kierunku. Gdy do niej podbiegł, objął ją i mocno przytulił.

- Nigdy więcej nie rób mi tego - rzekł łamiącym się głosem. - Nigdy tak nie znikaj, nigdy. Kiedy wróciłem do ambulansu i zobaczyłem, że ciebie w nim nie ma...

- Nie mogłam pozostać bezczynna - wymamrotała. - Gdy zauważyłam tego chłopca, który przypominał mi o Johnym, nie mogłam się powstrzymać. Po prostu nie byłam w stanie, więc... - Uniosła głowę i spojrzała na niego błyszczącymi oczami. - Zrobiłam to, Eli. Zrobiłam. Byłam przerażona. Myślałam, że zemdleję. Że nie dam rady...

- Czy nic ci nie jest? - przerwał jej Eli. - Masz ranę na policzku.

- To nie jest moja krew - odparła. - Ale czy ty mnie słuchasz, Eli? Pokonałam strach. Po tym, jak udzieliłam pomocy temu chłopcu, zajęłam się innymi rannymi. Mogę to robić! Mogę!

- Przez te pół godziny - wyszeptał, nie słuchając, co ona mówi - nie mogłem cię znaleźć, a policjant powiedział, że jakąś podobną do ciebie kobietę odwieziono do szpitala...

- To była Liz Logan z ED10. Któryś z tych bandytów zranił ją nożem. Widziałam, jak ją zabierają, ale myślę, że wyjdzie z tego, bo mówiła... - Bronté zachichotała. - Prawdę powiedziawszy, przeklinała.

Eli mocniej ją przytulił.

- Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jak się przeraziłem, kiedy pomyślałem, że to ty?

- Za bardzo się przejmujesz.

- A ty... - Odnalezienie jej całej i zdrowej przyniosło mu wielką ulgę, która teraz - na myśl o tym, jakie katusze przecierpiał, spodziewając się najgorszego - ustąpiła miejsca złości. - Co ty, do diabła, sobie myślałaś? Przecież powiedziałem ci, żebyś nie ruszała się z ambulansu. Ale, nie, Bronté O'Brian uważa, że wszystko wie lepiej, więc wysiadła, nie słuchając mojego rozkazu...

Bronté uwolniła się z jego objęć i spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Rozkazu? Nie wydałeś mi żadnego rozkazu. Tylko zasugerowałeś, że lepiej będzie, jeśli zostanę w karetce. Ale tu panował taki zamęt...

- Tym bardziej nie powinnaś była się z niego ruszać.

- Ale byli ranni, broczyli krwią. Nie mogłam ich zlekceważyć, nie tracąc szacunku dla samej siebie. A kiedy wysiadłam i zaczęłam im pomagać, wszystko było w porządku. Czulałam się dobrze i nadal czuję się dobrze.

- A ja nie. Bronté, wsiądź do ambulansu.

- Po co? Przecież nigdzie nie pojedziemy, dopóki nie zjawi się pomoc drogowa.

- To prawda, ale słyszą nas inni, a ja mam ci coś do powiedzenia - oznajmił Eli, nagle zdając sobie sprawę, że obserwują ich trzech policjanci, uśmiechając się pod nosem.

- Chodzi ci o to, że chcesz jeszcze bardziej zmyć mi głowę - mruknęła z westchnieniem. - Czy ty nie rozumiesz, co to dla mnie znaczy, Eli? To znaczy, że znów mogę być pielęgniarką, znów zacząć robić to, co najbardziej lubię. Albo mogę się przekwalifikować, zostać sanitariuszką. Oczywiście, nie w ED7 - dodała pospiesznie. - Nie chciałabym narzucać ci swojego towarzystwa...

- Nie miałbym nic przeciwko temu.

- Ale najważniejsze jest to, że przezwyciężyłam lęk. Czy nie jesteś ze mnie dumny?

- Oczywiście, że jestem. - Kiwnął głową. - Lecz nadal chcę, żebyś wsiadła do ambulansu.

- Ale...

- Żadnych ale. - Eli chwycił ją za ramię i zaprowadził do karetki. Zaczekał, aż usiądzie za kierownicą, a potem zajął miejsce obok niej.

- Przykro mi, że się niepokoiłeś - odezwała się. - Powinnam była zostawić ci wiadomość albo...

- Bronté... - Urwał i potrząsnął głową. - Dałaś mi porządny wycisk, ale uwierz mi, że to, co zamierzam teraz powiedzieć, przeraża mnie jeszcze bardziej.

- Czyżby coś przytrafiło się któremuś ratownikowi? - spytała z niepokojem. - Liz Logan została zraniona...

- Nie miałem na myśli Liz ani żadnego innego ratownika - przerwał jej. - Chodzi mi... o mnie.

- O ciebie? - zawołała, marszcząc brwi. - Przepraszam, ale nie rozumiem.

- Ja też nie - mruknął z posępnym uśmiechem. - A ponieważ nigdy dotąd nikomu tego nie powiedziałem, pewnie wszystko popsuję.

- Co popsujesz? - spytała zdezorientowana. - Eli, mówisz bez sensu.

- I chyba tak się zachowuję od chwili, gdy cię poznałem. Bo widzisz, kiedy pomyślałem, że mogę cię już nie zobaczyć... kiedy pomyślałem, że mogłem na dobre cię stracić... nagle zdałem sobie sprawę, że jesteś najbardziej irytującą, pyską, cudowną kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem i... że pragnę spędzić z tobą resztę życia.

Bronté zatrzepotała powiekami.

- Okej, rozumiem, że jestem irytująca i pyska, ale co do reszty...

- Chciałem ci powiedzieć, że cię kocham.

Bronté zaniemówiła. Patrzyła na niego w osłupieniu, a on poczuł, że czerwienieją mu policzki. Był niemal pewny, że ona coś do niego czuje, ale przecież mógł się mylić...

- Czy zamierzasz coś powiedzieć? - spytał.

- Czekam na puentę - oświadczyła. - To, co usłyszałam przed chwilą, musi mieć puentę.

- Ale nie ma.

- Eli... - potrząsnęła głową - znasz mnie zaledwie od siedmiu dni. Przez większość czasu krzyczeliśmy na siebie. Poza tym ty nie wierzysz w miłość. Przynajmniej tak mi mówiłeś.

- Nie wierzyłem, dopóki cię nie poznałem - odparł z zakłopotaniem. - Nigdy nie chciałem mieć żadnej kobiety na zawsze... a ciebie... tak, chcę.

- Czy to twój kolejny podstęp? - spytała drżącym głosem. - Bo jeśli tak, to daję słowo, że nigdy ci tego nie wybaczę.

Dostrzegł napływające do jej oczu łzy. Nigdy tak bardzo jak teraz nie żałował, że ma złą opinię. Nigdy tak bardzo jak teraz nie żałował wszystkich tych kobiet, z którymi się spotykał, a potem beztrąsko je porzucał.

- Nie... absolutnie nie! - zawołał, chwytając ją za rękę. - Nie mam pojęcia, co powinienem powiedzieć, żeby cię przekonać, że mówię prawdę. Bronté, kocham cię. Nigdy dotąd nie wyznałem tego, i na pewno nigdy już nie wyznam żadnej innej kobiecie. Kocham cię i zawsze będę cię kochał.

- Czy mówisz to dlatego, że spędziłeś ze mną ostatnią noc? - zapytała niepewnie. - Bo przespałeś się ze mną i teraz dręczy cię poczucie winy...

- Nie! - Wypuścił jej rękę i chwycił ją za ramiona. - Ostatniej nocy... dałaś mi coś, czego nigdy wcześniej nie zaznałem. To nie był tylko seks. Kochałem się wystarczająco często, żeby dostrzec różnicę. To nie jest coś, z czego byłbym dumny, teraz gorzko tego żałuję. Żał mi tych wszystkich kobiet, które skrzywdziłem, nie zdając sobie z tego sprawy. Ale nie mogę wymazać przeszłości, nie mogę jej zmienić.

- Eli...

- Powiedziałem ci kiedyś, że jesteś jedyna w swoim rodzaju i teraz to potwierdzam. Ostatniej nocy, dzięki tobie, poczułem się... spełniony, znalaz-

złem swoje miejsce i chcę, żebyś została ze mną na zawsze, żebyś wyszła za mnie za mąż. Jeśli... - Spojrzał jej w oczy. - Oczywiście, jeśli ty też tego chcesz.

W odpowiedzi wyciągnęła ręce i ujęła w dłonie jego twarz, a jej duże oczy zabłyśły w ciemności.

- Jesteś zadowolonym z siebie, aroganckim facetem, ale ja też cię kocham. Kochałam cię nawet wtedy, kiedy porównałeś mnie do wycieraczki...

- Nie chciałem tego, naprawdę - wtrącił zaniepokojonym głosem. - Byłem zły i... przesadziłem.

- Wiem - odparła łagodnie. - Nie zapominaj, że ja również potraktowałam cię dość brutalnie, kiedy byłam zła.

- Ja... - Załamał mu się głos. - Nie chcę, żebyś odeszła z mojego życia.

- Eli, zawsze będę cię kochać. Nawet jeśli będziesz marudził, nawet jeśli będziesz grać mi na nerwach, a nawet wtedy, kiedy dojdzie między nami do sprzeczki - rzekła lekko drżącym głosem. - Nigdy, przenigdy nie przestanę cię kochać. I nigdy cię nie opuszczę.

Na dowód prawdziwości swoich słów przechyliła głowę i pocałowała go w usta. Poczowała bijące od niego znajome ciepło i siłę.

- Czy to znaczy, że tak? Że wyjdiesz za mnie? - wyszeptał.

- A jak myślisz? - spytała ze śmiechem.

- Chciałbym to usłyszeć na własne uszy - nalegał.

- Chcę, żebyś powiedziała: „Elijahu, kocham cię i pragnę jak najszybciej wyjść za ciebie za mąż”.

- Jeszcze raz mnie pocałuj, a potem udzielę ci odpowiedzi - odparła przekornie.

Ich namiętny pocałunek przerwał dźwięk radiotelefonu.

- Mówiłam im, że mamy uszkodzony samochód - odezwała się Bronté. - I że nie możemy przyjąć żadnych wezwań.

Eli zerknął na ekran, a potem jego usta wykrzywił tajemniczy uśmiech.

- Lepiej sama na to zerknij...

- Dlaczego? - zapytała, a kiedy zobaczyła jego uśmiech, spojrzała na ekran i przeczytała: „Nie trzymajcie nas w niepewności. Czy wyjdiesz za niego, czy nie?” - Jak to się stało, że...? Jak mogli? - Głos jej się załamał, a policzki spurpurowiały. Nerwowo wyciągnęła rękę i wyłączyła radiotelefon. - Och, do diabła, Eli, czy wiedziałeś, że nadajnik jest włączony?

Eli potrząsnął głową.

- Pewnie zapomniałaś go wyłączyć przez nieuwagę po tym, jak powiedziałaś im, że ambulans nie jest sprawny - odrzekł.

- To znaczy, że wszyscy pracownicy dyspozytorski słyszeli, o czym rozmawialiśmy! Wszyscy nas słuchali...

- Gwiżdżę na to.

- A ja nie. Mój Boże, to takie żenujące. Czy ty tego nie widzisz? Oni nigdy nam tego nie zapomną - stwierdziła, kładąc ręce na swoich rozpalonych policzkach.

- Musieli wszystko słyszeć. Te pocałunki...

- Bardzo wątpię. - Wybuchnął śmiechem. - Ale chyba skojarzyli fakty podczas długich momentów ciszy.

- To wcale nie jest zabawne, Eli - zawołała, a on ujął jej rękę w dłoń.

- Bronté, wszyscy słyszeli, jak mówiłem, że cię kocham. Wszyscy słyszeli, jak prosiłem cię, żebyś za mnie wyszła, więc spróbuj dostrzec jasną stronę medalu. Teraz nie mogę już cofnąć swoich słów, nawet gdybym tego chciał, bo oni mnie zlinczują.

- A czy... chciałbyś je odwołać? - spytała niepewnie.

- Nie, nigdy w życiu. A teraz przestań się wykręcać i odpowiedz na moje pytanie. Czy wyjdiesz za mnie za mąż?

- Oczywiście, że wyjdę, ty głuptasie. Ponownie pochyliła się w jego kierunku, chcąc go

pocałować, ale on ją powstrzymał.

- Chwileczkę - rzekł stanowczo, choć w jego oczach lśniły przewrotne iskierki, a potem włączył radiotelefon. - Nie chciałbym, żebyś to odwołała, więc odpowiedz przy świadkach, czy za mnie wyjdiesz?

- Tak, wyjdę - odparła, a on ponownie wyłączył radiotelefon. - Więc teraz, skoro załatwiliśmy to formalnie, żadne z nas nie może się wycofać.

- Nie. W żadnym wypadku. Jesteśmy na siebie skazani. - Uśmiechnął się lekko. - No i co teraz będzie?

- Jak to, co teraz będzie? - spytała, a jego uśmiech rozszerzył się na całą twarz.

- Jesteśmy uwięzieni w tym ambulansie i nie możemy zrobić nic, dopóki nie nadjedzie pogotowie techniczne.

- Możemy włączyć radiotelefon i podsłuchiwać inne ekipy, albo zagrać w dwadzieścia pytań...

- Szczerze mówiąc, znam lepsze sposoby spędzania czasu - mruknął, obejmując ją, ale ona potrząsnęła głową.

- I tak mam już opinię skandalistki, więc nie chcę nawet myśleć o tym, co by się stało, gdyby ekipa wozu technicznego przyłapała nas w niedwuznacznej sytuacji.

- Więc może zostawmy ten ambulans własnemu losowi i pójdźmy do twojego mieszkania. Zamiast siedzieć tutaj i marznąć, moglibyśmy rozgrzać się w twoim ciepłym łóżku.

Jego propozycja była bardzo kusząca, tym bardziej że dyspozytorka, którą Bronté poinformowała o awarii karetki, uprzedziła ją, iż mogą czekać na pomoc wiele godzin.

- No dobrze. Weźmy taksówkę i jedźmy do mnie - powiedziała, otwierając drzwi, ale on ją zatrzymał.

- Zanim się stąd ruszę, żądam odpowiedzi na jedno pytanie. Czy masz w domu taśmę mierniczą?

- Chyba tak - odparła. - Jestem tego prawie pewna. Dlaczego chcesz to wiedzieć?

- Bo zadałem ci kiedyś inne pytanie, na które do tej pory nie odpowiedziałaś. - Uśmiechnął się szeroko. - Więc za jakieś pół godziny, kiedy staniesz przede mną nago, będę w końcu mógł zmierzyć twój obwód w biodrach.

- Zapewniam cię, że wynikiem nie będziesz zachwycony. Obawiam się, że może cię to skłonić do odwołania oświadczeń.

Uniósł jej rękę do ust i obdarzył ją serdecznym uśmiechem.

- Nawet gdyby się okazało, że jesteś gruba jak beczka...

- No wiesz!

- Nic mnie nie powstrzyma przed wzięciem z tobą ślubu. Tworzymy teraz zgrany zespół i chcę, żeby tak było do końca świata.

Kiedy spojrzała w jego oczy i ujrzała w nich miłość, uwierzyła, że jego życzenie się spełni.